

BLUSZCZ

Spółeciano-Literacki Mustrwany Tygodnik Kobiec

ROK LXII

WARSZAWA, DNIA 28 WRZEŚNIA 1929 ROKU

NR. 39

TREŚĆ NUMERU: Liga kobiet słowiańskich — *Z. Zaleska*. Nowe wychowanie — *Zofja Iwaszkiewiczowa*. Poezje: „Jeziora” — *Kazimiera Illakowiczówna*. Zawalidroga (d. c.) — powieść — *Herminja Naglerowa*. Z wędrówki — *M. H. Szpyrkówna*. Od Mazowsza do Podhala — *Marja Dobrowolska*. Polki-góra! — *J. K.* Z teatrów — *Herminja Naglerowa*. Kobieta w świecie i w domu. Nasze uczelnie artystyczne — *H. Z.* Reorganizujmy nasze ogniska domowe — *mar. mor.* Hiacynty (dok.) — *Stan. Schönfeld*. Diety w chorobach przewodu pokarmowego — *Marja Morzkowska*. Przepisy gospodarskie — *Pani Elżbieta*. Dodatek „Nasza Mównica”. Dodatek „Mody i roboty”: Kapelusze na sezon jesienny — *Well*. Dodatek powieściowy: „Głos krwi” — *R. Hichens*. Arkusz wzorów.

LIGA KOBIET SŁOWIAŃSKICH

Berliński kongres „Międzynarodowego Związku Równouprawnienia Kobiet” w czerwcu r. bież., odbyty przy udziale tysięcy niemek, wykazał, iż stowarzyszenia kobiece niemieckie „nigdy nie pogodzą się z narzuconym narodowi niemieckiemu traktem”. Front niemieckiej opinii jest zupełnie w tej sprawie jednolity i wyraźny. „Płonąca granica”, jaką otoczyli teren wolnego miasta Gdańska nacjonaliści niemieccy, w dniu 10-lecia podpisania traktatu Wersalskiego, rozniecając stosy płonące wzdłuż granicy z Polską, dobrze odzwierciadla nastroje „po tamtej stronie”.

A na to wszystko — jakąż wielką, jedyną, równie potężną ideę przeciwstawia naród polski? — My mówimy wciąż tylko: „obrona”, obrona Kresów Zachodnich, obrona „polskiego stanu posiadania”, obrona i obrona — pokutuje wciąż w umysłach najlepszych patryjotów, jakby to były dalej czasy niewoli, jakbyśmy nie mieli jeszcze państwa, które winno być platformą odskokową dla wielkich czynów.

Psychologja Niemców urabiana jest w kierunku wielkiej federacji, sięgającej od Dunaju i Renu po Amur i Indus — psychologja Polaków kształtowana jest przez konieczność obrony, z odrzuceniem rozmachu Chrobrego, tworzącego Wielką Słowiańszczyznę w chwili, w której musiał również bronić ledwie powstającego państwa od najazdów margrów niemieckich, ba! sam — jako pacholę — patrzył na zwycięskiego margrafa Gerona i na bitwę pod Braniborzem, w której ginęły resztki liczne-

ongiś słowiańskiego rycerstwa nadodrzańskiego.

Był czas, gdy Polska mogła być urzeczywistnić wielką ideę Chrobrego, choć już wówczas weszły między północnych i południowych Słowian kliny Austrii i Węgier.

Nie miejsce tu pisać rozprawę historyczną.

Ale — miejsce na podjęcie tej inicjatywy, która kołacze się po stowarzyszeniach kobiecych polskich i czeskich od r. 1909, którą z entuzjazmem popierały Marja Konopnicka i Dulębianka, którą zbliżyły ku urzeczywistnieniu czasy obecne, a która może stać się tą cegiełką, jaką kobiety polskie mogą wbudować w gmach Słowiańszczyzny. Myślę o „Lidze Kobiet Słowiańskich”.

W r. 1909 na zebraniu „Związku Kobiet Polskich w Moskwie” — bezpośrednio po Wrześni — wystąpiła p. Stef. Laudynówna (obecnie Laudyn-Chrzanowska) z inicjatywą zawiązania Ligi Kobiet Słowiańskich. Przyjęta przez Związek odezwa, wysłana do krakowskich i lwowskich stowarzyszeń, wróciła pokryta podpisami przewodniczących organizacyj kobiecych oraz — znanych działaczek, jak Marja Konopnicka i Marja Dulębianka.

Wkrótce inicjatorka udała się do Pragi Czeskiej, gdzie czeskie stowarzyszenia kobiece odniosły się do projektu Ligi bardzo przychylnie, ale sprawa upadła ze względów prawnych, bo rząd austriacki nie zezwolił na zakładanie żadnych związków politycznych kobiecych na terenie Cesarstwa. Nie przyczyniły się do urzeczywistnienia inicjatywy i lata

późniejsze przed wojną, podczas których p. Laudyn-Chrzanowska usiłowała „akcję słowiańską” rozwinąć na terenie wychodźstwa polskiego w Stanach Zjednoczonych, co znalazło gorący oddźwięk jedynie w czasopiśmie kobiecych czeskich, jak „Ženski Svet” w Pradze.

Obecnie zawiązana została na zjeździe Rady naczelnej gosp. wykształcenia kobiet w Warszawie „Liga” gospodyń słowiańskich z inicjatywy czeskiej p. Róży Czerny, której wniosek w tej sprawie uchwalili w roku ub. zjazd gospodyń w Pradze Czeskiej, na którym była obecna delegacja 50 polek pod przewodnictwem p. Marji Karczewskiej — zasłużonej przewodniczącej „Rady naczelnej wykształcenia gospodarczego kobiet”. Liga ta narazie obejmuje Polskę, Czechosłowację i Jugosławię (czyli Serbję, Chorwację, Sławonię i Bośnię).

Jest to pierwszy krok ku ściślejszemu związaniu kobiet polskich z kobietami tych krajów słowiańskich, które — doprawdy — w umysłach naszych są jeszcze wciąż dalsze od — chociażby Francji. Tej Francji, skąd pół miliona polskich robotników przez usta swych delegatów na tegorocznym „I-ym zjeździe polaków z zagranicy” oświadczają, że są traktowani, jak jednostki niższego rzędu, bez względu na swoje kwalifikacje zawodowe, bez względu na fakt, że bez tej „polskiej siły roboczej” nie byłoby mowy o odbudowie t. zw. „zniszczonych departamentów”; tej Francji, skąd polskie dziewczęta, jadące na służbę tysiącami, ślą potem rozpaczliwe listy: „wolejby w domu chleb suchy jadła i wodą zapijała, niż tu taką poniewierkę cierpieć”; Francji, która zrównała się z Niemcami pod względem ryczałtowego nazywania polaków pogardliwymi i obelżywymi mianami, na mocy paru napadów „les bandits polonais” w Paryżu, wśród których to bandytów były akurat 2 nazwiska polskie.

Czas byłoby trzeźwiej oceniać stosunki polsko-

francuskie — właśnie bez sentymentalizmu, a tylko na podstawie historii, choćby tylko od 1795 r. poczynając.

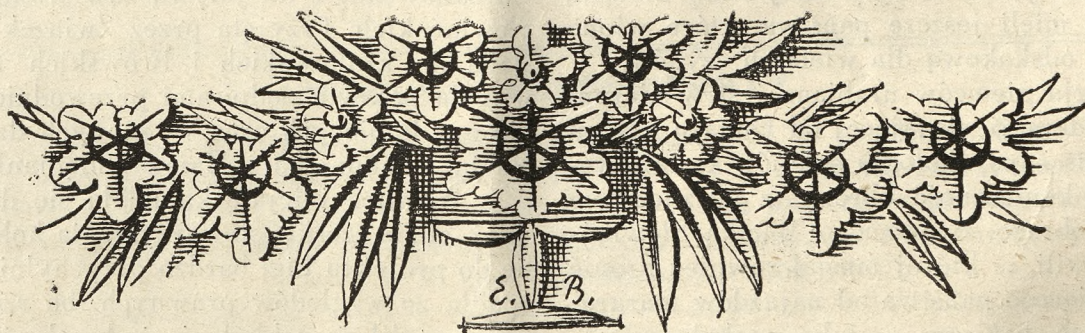
Prawda, mamy i z Czechami swoje porachunki. Rozdzieliły nas różne żale i urazy, że i pruska ręka lepiejby nie mogła upiec tu swej pieczeni. Ale... ale czeskie odrodzenie narodowe w pierwszej połowie zeszłego wieku oparło się na polskiej literaturze romantycznej, ale Mickiewicz i Słowacki są tam znani, jak u nas Balzak (bez paraleli literackiej twórczości w tym przykładzie); ale z Czechami możemy rozmawiać w swoich językach i rozumieć się dokładnie po paru dniach osłuchania; ale Czechy na 14 milionów ludności mają tylko 6 milionów Czechów i rozumieją, że zginą w morzu niemieckiem bez oparcia się o pobratymczy naród.

Słowacy i jugosłowianie, z którymi nie nas nie dzieli, a łączy bardzo wiele, odnoszą się do Polaków bardzo życzliwie; pamiętają o Warnie, mimo, że na Kosowie Polu nie stanęło wraz z nimi polskie rycerstwo, istanowią element, który łatwo może być pozyskany dla wspólnej idei.

Trzeba tylko, byśmy chcieli poznać te kraje, tak — jak znamy zachodnią Europę, która na Polskę patrzy, jak na kraj, idący kędyś na szarym jej końcu, gdy wśród Słowian stoimy na czele.

Warunki tak się złożyły dla odrodzonego państwa naszego, że kierownicy naszej polityki zagranicznej muszą mieć myśl, zwróconą na Zachód. Ale społeczeństwo ma obowiązek wypełniać to, czego polityka oficjalna wykonywać nie może z różnych powodów. Wiele jest takich spraw, zleczanych organizacjom społecznym (np. cały teren akcji Pol. Macierzy Szkolnej w Gdańsku, Związku Polaków w Niemczech i t. d.). Dodajmy więc do nich — kładzenie podwalin pod Wielką Słowiańszczyznę. Czyż tylko Niemcy mają prawo dążenia do stania się potęgą, przodującą Europie?

Z. Zaleska.



ZOFJA IWASZKIEWICZOWA

NOWE WYCHOWANIE

Tyle się dziś o niem mówi i pisze! Ministerstwo Oświecenia przyjmuje obecnie w Polsce (w Warszawie, Krakowie i Poznaniu) przedstawicieli Wszechświatowej Ligi Nowego Wychowania. W ubiegłym miesiącu odbył się w Danji międzynarodowy kongres, przez tę Ligę zorganizowany i temu zagadnieniu głównie poświęcony, gromadząc w pięknej nadmorskiej miejscowości Helsingör około 2000 delegatów z różnych części świata. (Sprawozdanie w Nr. 36 „Bluszczu”).

Powstaje pytanie: czemu przypisać należy niezwykle zainteresowanie tą kwestją, co sprawia, że w ciągu 8-miu lat w 30-tu przeszło państwach powstały sekcje Ligi Nowego Wychowania, że tysiące ludzi do nich należą, tworząc jakieś swoiste bractwo w służbie tej idei? Chyba temu, że każde pokolenie pragnie przekazać następnemu nie tylko to, co ma najlepszego, ale oczekuje od niego jeszcze więcej; w tem dążeniu przejawia się naturalny pęd ducha ludzkiego do coraz większego postępu, do wznoszenia się na coraz to wyższe stopnie doskonałości. I dlatego, póki świat istnieć będzie, w sercu ludzkim zawsze żyć będzie nadzieja na lepsze jutro, które wcielić się winno w naszych dzieciach.

Jakkolwiek już w XVIII wieku w filozofji Rousseau zaznaczyła się żywa potrzeba wzięcia w obronę indywidualności dziecka i walki z istniejącym systemem szkolnym, jakkolwiek wiek XIX dla tych samych przyczyn został nazwany stuleciem dziecka, jednak dopiero w naszych czasach konflikt między oficjalnymi systemami szkolnymi, a żywym, twórczym duchem pedagogów z Bożej łaski, tak silnie się zaostriął, że zjawił się cały szereg prób zerwania z tradycją i stworzenia nowej, na innych zasadach opartej, szkoły. Na naukowych podstawach zbudowana nowoczesna pedagogika wzięła także dziecko w obronę przed zwietrzałymi formami dotychczasowych metod nauczania.

Byłoby błędem mniemać, że ten kierunek zawiera w sobie rzeczywiście coś nowego, jakieś wyjątkowe odkrycie w dziele wychowania. To „nowe”, o czem z takim zapalem mówią jego adepci, mieści się nie w treści, lecz w formie, nie w przyjęciu tych lub innych podstaw, lecz w ciągłym poszukiwaniu, we wciąż nowych i nowych próbach dojścia do nieodścisłego dotąd ideału: zrozumienia duszy dziecka.

Oto dlaczego ci wszyscy, którzy szukają nowych form wychowania, niezależnie od różnicy przynależności narodowej, a nawet rasowej, niezależnie od różnicy poglądów politycznych i społecznych, bio-

rają taki żywy udział w tym ruchu. W ich świętym zapale mieści się symbol wiary tego kierunku.

Rozumie się, że jest jeszcze i coś ogólnego, co można wyłowić z morza najróżnorodniejszych poglądów. Osobowość dziecka, jego swoboda, jego twórczość wysuwają się w nowym wychowaniu na pierwszy plan. Dlatego nazwisko Pestalozziego tak często jest powtarzane przez sprawozdawców państw anglo-saskich i niemieckich, z krzywdą Rousseau, który jest niewątpliwie ojcem tego ruchu.

Obok tego na sztandarach zwolenników nowego wychowania widzimy wypisane wielkimi zgłoskami słowo: Ż-y-c-i-e. Ono ma być punktem wyjścia, przygotowanie do niego ma się stać celem, a drogi, które doń prowadzą, są tak różne, jak różny jest pogląd na życie, jak różne są pojęcia o jego potrzebach i jak różne są zapatrywania na zainteresowanie dzieci.

Życie, rzeczywistość, ma stanowić punkt wyjścia dla tworzenia nowych programów. Ponieważ procesy życiowe — mówią jedni — mają swoją niezaprzeczoną logikę, ponieważ fakty, zachodzące w rzeczywistości, są znowu z sobą w pewnym związku, więc nie trzeba się lękać, by wiedza, dla której punktem wyjścia będzie życie, była fragmentaryczna, pozbawiona ciągłości, pełna luk.

A inni twierdzą: życie nie ma planu, życie jest irracjonalne, więc nie trzeba kusić się o jakiś wykończony program wychowania i nauczania. Wszystkie kwestje rodzą się z życia, trzeba je tylko w miarę, jak się nasuwają, odpowiednio do warunków życia rozwiązywać, wyzyskując te wszystkie możliwości, z którymi dziecko przyszło na świat.

Lecz wszyscy praktycy — czy to metody projektów, czy centrów zainteresowań i analogicznych systemów — wszyscy ci liczni pionierzy, czyniący doświadczenia na terenie Europy i Ameryki, dzielą się z nami tylko wynikami swoich prób, mówią nam raczej, jak można czynić, lecz nie jak należy czynić, aby wyzwolić i rozwinąć wszystkie władze dziecka, aby wyzyskać wszystkie jego przyrodzone zdolności, aby pobudzić siły twórcze i wytworzyć właściwy stosunek między szkołą i życiem, między dzieckiem, a środowiskiem, z którym jest związane.

Utarł się pogląd, że obecnie zmieniły się role ucznia i nauczyciela, że ten ostatni odszedł w cień, ukrył się, przestał „uczyć” w dawnym znaczeniu tego wyrazu. Lecz o ileż trudniejszą jest obecnie jego rola! Dawniej miał program, wykreślający dokładnie zasób wiedzy, którą winien uczniowi podać, miał ułożony zgóry plan pracy; wystarczała znajo-

mość przedmiotu i sumienność, by osiągnąć stawiany przez szkołę cel.

W nowej szkole program zmienia się z dnia na dzień, plan pracy dyktuje dziecko i jego zainteresowania, ze szkoły tworzy się wspólna pracownia, w której nauczyciel staje obok dziecka, podpatruje jego zainteresowania, budzi uzdolnienia, stara się wykorzystać wszystkie, ciągle pamiętając o tem, że szkoła — to już nie ta dawna, pełna powagi, przepojona autorytetem nauczyciela instytucja, o trochę koszarowym nieraz charakterze, że nowa szkoła — to samo życie. W niej wytworzyć się ma nowy typ człowieka, zależny zresztą od tego, jak wychowawca sam na życie patrzy i jak rozumie jego cel i istotną treść. Musi on nauczyć wychowanka myśleć i przewidywać, tworzyć samodzielnie plany, wykonywać je, oceniać rezultaty; musi mu dać inteligentną odpowiedź na wszystkie zagadnienia życia, które przed nim stają; musi wydobyć z niego wszystkie siły twórcze, musi go przytem nauczyć czuć, nauczyć rozumieć wyższe cele, którym służyć winien (niestety, o tej najważniejszej stronie wychowania, zapominają, czy może tylko jeszcze niedość ją podkreślają przedstawiciele nowych kierunków wychowania).

W nowej szkole niema ławek, niema katedry, brak tych wszystkich akcesorjów, które nadawały jej pewną powagę i ułatwiały utrzymanie dyscypliny. Wewnętrzny autorytet musi to wszystko zastąpić. Dziecko nie jest niczem skrepowane, pyta i mówi, gdy zechce, aktywność jego rozwija się bez żadnego przymusu, czynności jego nie są kontrolowane przez kary, nagrody, ani inne formy wpływów osobistych; jedyną ich kontrolę stanowi cel, który osiąga dziecko w swojej pracy, bodźce zaś do niej rodzą się z otoczenia, z sytuacji społecznych, z osobistych zainteresowań, do pewnego stopnia z książek i rozmów, nagrodę zaś stanowi to, co jest największą radością człowieka: radość samodzielnej i celowej pracy.

Zbędne stają regulaminy, raz na zawsze ustanawiane przez nauczycieli. Szkolne prawa wychodzą od dzieci, wynikają z ich doświadczenia, z chęci wykonywania pracy bez przeszkód, z potrzeby uniknięcia anarchji, która stanowi największą przeszkodę w osiąganiu zamierzonych celów. Szacunek dla pracy, zaufanie i miłość do nauczyciela — to jedyne źródła autorytetu w nowej szkole.

Naturalną konsekwencją takich poglądów musi być negatywny stosunek ich wyznawców do oficjalnych programów szkolnych i do egzaminów w dotychczasowej ich formie. Programy nie mogą być układane dla nowej szkoły przy zielonym stole:

rzeczywistość, życie ustanawia normalny punkt wyjścia dla dynamicznego konstruowania programu, który musi być przecież zawsze dostosowywany przez nauczyciela do psychologii dziecka, do stopnia jego intelektualnego rozwoju.

Jest to o tyle możliwe w „nowej szkole“, że próby czynione są przeważnie w szkołach prywatnych, które nigdzie nie są krępowane oficjalnymi programami, i wszędzie na świecie stają się polem eksperymentów dla tych pionierów nowych idei, którzy wywalczają dla nich prawo obywatelstwa trudnem i nieraz długotrwałem doświadczeniem. Przeważnie jednak ta swoboda, dana szkołom prywatnym w stosowaniu programu i wyborze metod jest ograniczona momentem zdawania egzaminów. Bo jeszcze daleką jest chwila, gdy o zajęciu przez jednostkę takiego lub innego stanowiska w społeczeństwie decydować będzie nie świadectwo z ukończenia takiej lub innej szkoły, lecz gdy konieczny będzie jedyny, może najtrudniejszy ze wszystkich — egzamin życia; gdy nie będzie się wymagać od człowieka, w nie wstępującego, pewnego, zakreślonego programem, zasobu wiadomości, lecz pozwoli mu się wejść w życie ze swą inteligencją i tą wiedzą, którą zdobył bez oficjalnych programów, i da mu się sposobność uczynienia praktycznej próby ze swych sił i zdolności.

To też często w t. zw. nowych szkołach jesteśmy świadkami kompromisów: w jednych — ostatni rok pracy szkolnej poświęca się przygotowaniu do wymaganych w danem państwie egzaminów, w innych — udziela się takiego przygotowania tylko dzieciom rodziców, którzy sobie tego życzą, a jeszcze w innych stosuje się nowe metody w zakresie wychowania fizycznego i kształcenia charakteru, wychowanie zaś intelektualne podlega nadal oficjalnym wymaganiom.

Jak w poszczególnych szkołach wygląda praktyczne stosowanie idei „nowego wychowania“, jak one są zorganizowane i jakimi różnymi metodami zmierzają do tych samych celów — to będzie przedmiotem następnego artykułu. Tu trzeba jeszcze nadmienić, jak ważną rolę odgrywają w tworzeniu „nowej szkoły“ rodzice. Współpraca z rodzicami jest przez wszystkich współczesnych reformatorów wychowania ceniona i uznawana za niezbędny warunek powodzenia czynionych prób i usiłowań. Idealna nawet atmosfera w szkole nie wystarczy, bo zostaje zawsze przecież dom; należy więc iść z ideą nowego wychowania do rodziców, a wzamian od nich uzyskać pomoc dla szkoły. Inaczej nie posuniemy dzieła wychowania tak daleko, abyśmy sobie powiedzieć mogli, że wytworzyliśmy mniej lub więcej doskonały typ nowego człowieka dla nowego życia.



KAZIMIERA JILAKOWICZÓWNA

JEZIORA

I.

Wieczór i jesień słodko się zmierzcha
nad jeziorami,
ukośna czajka, sunąc — po mierzchu
zmierniadła leżące łamie.
Rzeczka jezioro bagniste łączy
z drugim i trzecim...
Wszędzie dokoła mada się sący,
pod trzciną przez moczar świeci.
Wnoszą buławy czarny aksamit
przecinko śmiału, co pierzcha...
Ponad mokradłem, nad jeziorami
wieczór się zmierzcha.

II.

Zamyka się oko księżycy,
otwiera się inna źrenica;
brzeg jeszcze głębiej pociemniał.
Jezioro spogląda me mnie.
„Tamta — co na dnie leży —
ze wszystkiego się wodzie zwierza...
Stoisz tu z głową pochyla:
całe życie przed nami ukryła!
Odeszłaś od nas dzieckiem,
odmieńcze podstępny, zdradziecki;
jasnomłosa byłaś dziewczynką...
Dziś sprzedajesz nasze tajemnice na rynkach!
Otoś już wszystko bez mała
dla głuchych miast wyśpiewała:
plusk fal, kwilenie jastrzębi,
muszelki — kwiatuszki głębin.
Wyśpiewałaś i mgłę i pioruny,
lecz o jednym nie wiedzą twe struny
— że głęboko zaplątany w ziele
na dnie naszym kolysze się szkielet...
...Ciało darmo muł poprzęzerał,
białych żeber rząd się otwiera...
...Przepływają oddechem chybkiem
przez jej pierś białostrunną — rybki...”



ZAWALIDROGA

(powieść)

XXI.

Kaliniecki mógł teraz stwierdzić, że Franek się „udobruchał”. Ale i w tem zlagodzeniu obyczajów syna była przekora śmieszna i dokuczliwa. Czasem musiał Kaliniecki przyznać się do tego, że śmieszność staje się właśnie jego udziałem, skoro świadkiem tych zaczajonych borykań z synem była — Hala.

Początkowo, jakby tajnie sprzymierzona z ojcem przeciw Frankowi, ułatwiała Hala taktykę niedostrzeżeń i niezrozumień. Zaraz po przyjeździe Franka uzgodnili to między sobą w rozmowie, która brzmiała mniej więcej tak:

— Jak ci się podoba mój syn?

— Nie wiem jeszcze, musimy go dopiero poznać.

Powiedziała bardzo rozsądnie i zręcznie: „musimy” — i w ten sposób odrazu było ich dwoje przeciw jednemu, były niejako dwa punkty obserwacyjne i zdwojona czujność.

Ojca zaciękawiała jednak obcość syna. Badal go i oceniał bez zbytniego zaufania do siebie samego, gdyż kapryśność i zmienność Franka wywoływała w ojcu odpowiednie uczuciowe reakcje, niecierpliwiła wreszcie, jako ciągły trud. Było to poprostu pewne nadużywanie dyplomatycznych subtelności, na codzień ogromnie niedogodne i uciążliwe. Współudział Hali w tych zabiegach musiał więc być raczej bierny, a może właśnie dyskretnie obserwowała zarówno syna, jak i ojca?

Ale wystarczyło, że milczenie Hali, jak dywan miękki i puszysty, tłumilo wszelką jaskrawość tych zmagania się ojca z synem, aby właśnie tem uciążliwsza była gra i żeby dom napelnił się nieszczerością — potrójną. Ktoś z tych trojga bywał na chwilę silniejszy i wtedy trzeba było ulec mu, ufając, że dzieje się to z własnej ochoty. Czasem następowała równowaga sił, ale wbrew prawom fizyki, nie nastawał moment spokoju, lecz energie burzyły się nadal, niczem wir rzeki, opluskujący nieruchomą przekorność kamienia. Niekiedy jednak zaostrzały się słowa i cięły się krzyżową sztuką.

Kaliniecki okazywał zresztą dużo dobrej woli, ale nie trudno mu było zrozumieć, że syn domaga się czegoś więcej, niż uprzejmości i „umileń pobytu”. A z tem właśnie ojciec nie umiał sobie dać rady. Zawsze przecież były to tylko zewnętrzne objawy — więc niby te wspólne przejażdżki, niby jakieś rozmowy o sprawach dnia. A jednocześnie trzeba było usprawiedliwiać się przed Hala, że poświęca się synowi tyle czasu i uwagi.

— Musisz mu wybaczyć, to przecież jeszcze dziecko. Chciałby tu wszystko widzieć, wszystko go zajmuje.

Mówiąc tak, byłby może wołał, aby Hala nie okazywała takiej ustepliwości, ale usłyszał tylko uprzejmy frazes:

— Ja to dobrze rozumiem, Władku, że tak być powinno.

Poprawność Hali nie ułatwiała jednak sytuacji i była dla Kalinieckiego raczej czymś żenującem. Musiał jej dziękować za to, że jest taka dobra i cierpliwa, brał niejako z jej rąk łaskawe zezwolenie. I tak zostawało poczucie własnej niezręczności życiowej, skoro dojść mogło do takiego pogmatwania osobistych spraw. A komplikacje sięgały już głębiej niżby się napozór zdawało.

Ten duży, piękny syn stawał się już bowiem pozycją w życiu ojca, a teraz, gdy tu był blisko, sprawiał czasem radość, a czasem nawet zadziwiał całą swoją istotą. Ojciec nie mógł się oprzeć ciekawości poznania, jaki to jest właściwie ten duży chłopak? Obcy, a przecież własny, przecież — syn. Musiał już pewnie mieć swoje sprawy i sprawki, o których ojciec radby coś wiedzieć. Może byłyby go rozśmieszyły, może we wspólnem poznaniu rozbałyły i zbliżyły do syna. Nie umiał jednak o nic takiego zapytać, a zresztą trzeba było dla własnego dostojęństwa rozbudować rodzicielski dystans. I tak już, zapewne, była pomniejszona jego wartość w oczach syna, i tak już matka musiała go źle usposobić do ojca. Pewnie mu tam po swojemu wytłumaczyła to wszystko, aby zachować swoją godność. Ale właśnie o tych nastrojach syna nie chciał Kaliniecki nic wiedzieć i wołał już nieznacznie zdobywać sobie przychylność Franka właśnie uprzejmościami i jakby ustepliwością.

Chwilami miał już wrażenie, że przyswoił syna. Związały ich jakieś wspólne zainteresowania, zrazu zewnętrzne, potem pogłębiane w rozmowach. Syn nie ukrywał swojego zaufania do rozumu ojca i pozwalał się pouczać. A skoro się już było tym autorytetem, w uznaniu syna, radośnie i chętnie odwdzięczał się mu ojciec życzliwością. Ciężar zatajanego nieporozumienia upadał wtedy na dno i nikt nie miał ochoty wydzwignąć go nanowó.

Kaliniecki przechwalał się przed Hala:

— Wiesz, udał mi się chłopak!

Hala przyznawała, że jest wistocie rozsądny i z kokieterją, nieco drwiącą, stwierdzała:

— Jest bardzo podobny do ciebie.

To oczywiście podobieństwo pomnożyło również

walory Franka. Ojciec obejmował teraz syna całym spojrzeniem: taki właśnie powinien być jego syn! Jeszcze parę tygodni, czy choćby dni, a napewno ustaną te „warszawskie” fupy i fochy syna i wtedy już łatwo porozumieją się ze sobą.

Tymczasem jednak, zanim jeszcze ojciec sam w sobie uporządkował swój stosunek do syna, nastąpiła zmiana, która mogła zaniepokoić, gdyby się w sam czas nie było dostrzegło jej istotnej śmieszności. Hala, właściwie dotąd wyłączona z akcji, stała się nagle główną osobą dramatu i zawiłania przybrały formę groteski. Kaliniecki dość szybko pojął, że grozi mu śmieszność, wynikająca już z samej tylko banalności wydarzeń. Bo i jakże to właściwie jest? Że ci dwoje młodzi — i on? Wszystko odbywało się tu według recepty i już samowolnie układały się sprawy. Kaliniecki musiał więc współzawodniczyć z tym młodym, musiały się tu dziać te nieprawdopodobne sceny, ubliżające i przykre. Przyzwyczajony do niewalecznych zwycięstw, do najpospolitszych igraszek miłości, przesytu, potrzeby zmian, Kaliniecki wysilał się teraz na reprezentowanie swoich wartości. Niemniej musiał zrećźnie udawać, że nic nie widzi i że właściwie Franek się „udobruchał”.

Hala była teraz aż nazbyt skora do przyznawania Frankowi tych, czy owych zalet. Często okazywała nawet brak umiaru w zachwytach i wtedy trudno było powstrzymać się od docinków.

— A jednak ujął cię tym charlestonem!

Hala śmiała się:

— Przyznaj, że pocziwy ten twój chłopak!

Po dobrym namyśle Kaliniecki stwierdzał wprawdzie, że należy sobie lekceważyć całą tę sprawę, ale wyczuwalność zmysłów była tu bardziej kompetentna i bardziej nieomylna, niż wszelkie rozumowanie. Uskarżał się teraz na natrętne wszedłbyłstwo Franka:

— Nigdy nie możemy być sami!

— Nigdy?

Wistocie nie można było zaprzeczyć, że pozostawały noce i nie można też było nic zarzucić Hali. Triumfy syna były przecież ułudne, skoro całkowity zysk osiągał ojciec. Rekompensowało się więc wszystko w spotęgowanej świadomości posiadania i po takich nocach można już było pobłażać synowi, można się było nawet bawić jego nieudolnymi zabiegami. A zresztą — skończą się przecież te wakacje i syn wróci do Warszawy. A jak wiele do tego kategorycznego postanowienia przyczyniła się mądrość Hali, nie mógł wiedzieć ani ojciec, ani syn.

Któregoś dnia Hala odwiedziła Klimę. Tak było, że co pewien czas przyjaźniły się z sobą i Klima dowiadywała się wtedy mniej więcej o wszystkim. Tym razem mówiło się dużo o Franku, którego Klima już dawno nie widziała.

— Teraz mnie zadręcza swoją przyjaźnią.

Klima uczuła, jak zabiły jej puls, niby w akord wzięte klawisze. Przestraszyła się jaskrawości własnego domysłu. Nie mogła więc ukryć swojej nieufności do przyjaciółki i dlatego bez zwyczajnej cenzury, stosowanej do swoich słów, zapytała:

— A ty?

Hala przyszła tu jednak z innymi sprawami i one to właśnie zmieniły jej gładką, śliczną twarz, że wydawała się jakby nabrzmiała od gniewu i płaczu. Słowa rozbełkotały się rozżaleniem nad sobą samą. Mówiła coś o bólu i strachu, o ohydzie i własnej podłości i o tem, że wszystko to nie da się nawet pomyśleć bez wstrętu do siebie samej. Klima umiała to jakoś pozierać w dobrze pojęty sens i gładząc Halę po policzkach, wymyślała zdawkowe pociechy. Ale wistocie nie odczuwała litości dla przyjaciółki i byłaby raczej z większym przekonaniem powtarzała za Halą: — Tak, tak — jesteś podła i wstrętna! — Byłaby jeszcze dopowiedziała od siebie: — Tak bardzo ciebie nie lubię, że chyba ci nawet źle życzę.

Hala mówiła już spokojnie, określając każdą rzecz z upokarzającą dosłownością. Była to jakby niesamowita trywialność, od której rosło w Klimie wzburzenie, ledwie już zdolne do mocowania się z krzykiem. Drżała tak silnie, że musiała przytulić się do Hali, musiała ją objąć, aby jakoś w ten sposób podeprzeć siebie.

— Ty jesteś, jak matka, jak najlepsza, najwyrozumialsza siostra. — Hala mówiła to tuż przy ustach Klimy. — Ty jesteś jedyna, której wszystko mogę powiedzieć.

Ale Klima odsunęła ją nagle od siebie, prawie ją odepchnęła.

— Przecież go kochasz? Przecież go kochasz!

Hala nie rozumiała, jaki to ma związek z tem wszystkim, z tem cierpieniem, o którym tu tyle mówiła. Patrząc na Klimę, dziwiła się jej oczom szeroko otwartym i tak pełnym złości, dziwiła się ustom ściętym ostrym grymasem. Klima wyglądała teraz tak staro i w tej starości tak nieźyczliwie, że Hala przelekła się jej, jak dziwaczного snu, który przemienia twarze znajomych i przeinacza potem już zawsze uczucia dla nich. Powiedziała tylko, żeby to jakoś zakończyć:

— Dlaczego się na mnie gniewasz? Opowiedziałam ci to, bo przecież muszę komuś — muszę! Nie mogę już tak zupełnie milczeć i tak zawsze, bezustannie być miłą.

— A ja nie zawsze mogę tego słuchać! Nie zawsze chcę być wyrozumiała! — Krzyk Klimy łamał się, chrypiał, a potem długo jeszcze dodzwaniał ciuchutko, w tych wszystkich niebieskich flakonikach, ustawionych rzędem na komodzie.



M. H. SZPYRKÓWNA

Z WĘDRÓWKI

IV.

O BERNADECIE.

Ktokolwiek znajdzie się przed słynną z cudownych objawień Grotą w Lourdes, ma sposobność zwrócić uwagę na dwie małe tabliczki na ziemi, w dwu różnych miejscach, pomiędzy ławkami, ustawionymi na niewielkim placu u cudownego źródła. Napis jednej z nich brzmi:

— W tem miejscu klęczała podczas objawień Bernadetta.

A drugiej:

— Tu za czasów Bernadetty przechodziło łożysko strugi („Gavé“).

A więc, tu klęczała niegdyś Bernadetta! Nie wiemy, jaką była. Wielobarwne fotografie jej i portrety, w obfitości zapelniające sklepiki miasteczka, nie oddają ani w części uroku naiwnej czystości, jaki cechował małą młynareczkę, sądząc ze zgodnych w tym względzie zdań jej współczesników. Śmierć jej nastąpiła względnie tak niedawno (przed 50-ciu laty), że osób, które ją pamiętają, jest jeszcze poddostatkiem. Ba! Rodzony jej brat, już zresztą sędziwy starzec, dożywa wieku pod Lourdes, przyjmując dotąd odwiedziny ciekawych. Gorzko sobie wyrzuca, że nie zawsze był dla małej wtedy siostrzyczki tak dobry, jakby na to zasługiwała.

Drugą, „żywą“ niejako Bernadettę, przechowuje za wielkimi szklanymi szybami muzeum w Lourdes. Właściwie, jest to panopticon, i cieszą się jego efektami w spodziewanej mierze tylko tłumy najpopularniejsze. Zwłaszcza pierwszy obraz, przedstawiający woskową Bernadettę na pastwisku (krajobraz podpirenejski oddany zresztą dobrze), wśród woskowych baranów w nadmiernej obfitości, które wystawiają na widza tak przeraźliwe pyski i w tak bezpośredniej, bo tylko cienką szybą oddzielonej bliskości, że odruchowo się cofa. Świadczyłoby to dobrze o żywotności efektów. Na innym przedstawiono poglądową metodą, jakto Bernadecie (jeszcze nie widać nic), ukazała się nagle Matka Boska (przewodnik naciska kontakt i odpowiednia figura pojawia się w niży) i, podniósłszy rękę (kontakt i maszynerja), powiedziała...

Prostaczkowie patrzą i są głęboko poruszeni. Muzeum bardzo im się podoba, bo za dwa franki mają moc przeżyć. Unoszą też ze sobą zupełnie konkretny obraz Bernadetty: dziewczyneczka lat dwunastu w ciemnej sukieneczce, z porządnutko zapiętą, zakonniczą chusteczką na włosach. Stare kobiety jeszcze i dziś w ten sposób zawiązują głowy. W rękę ma

ogromny różaniec z ziarnkami wielkości wiśni — rzeźbionymi w drzewie, z solidnym krzyżem na końcu (specjalność Lourdes). Chociaż wyszedł z obiegu faktycznego, zastąpiony przez inne, poręczniejsze, sprzedawany jest jednak w dużych ilościach, jako ciekawostka ówczesna. Kupiłam także taki różaniec! kosztuje... dwa franki! Kilkadziesiąt kulek, ręcznie ciętych w drzewie i pomalowanych, z krzyżem i na metalowym łańcuchu. Najzwyklejszy użytkowy kosztuje kilkanaście. Tak to tracą na cenie rzeczy... wczorajsze!

Pozatem, pomiędzy sklepikami ze świętościami i w hotelowych spisach, nazwisko Subirous figuruje dość często. Pomiędzy towarzyszami z fachu, rodzina ta jednak posiada zupełne poważanie: nikt z nich nie splamił się specjalnem kupczem na rachunek małej swojej orędowniczki, zaś świętość Bernadetty za życia zysku materialnego im nie przyniosła także, nie więc dziwnego, że narówni z innymi współobywatelami rodzinnego miasteczka wzięli się do handlu i hotelarstwa — dwu najpilniejszych zapotrzebowań Lourdes. Już po objawieniach Bernadetty, rodzina jej najbliższa żyła w takiej nędzy z powodu absolutnego nieprzyjmowania przez Bernadettę żadnych datków od wyznawców, a uniemożliwionej pracy, skutkiem ustawicznego napływu ludzi do ich ubogiej lepianki, że gdyby nie proboszcz, pomarliby chyba całą rodziną z głodu. Dopiero on postanowił położyć temu jaki taki kres nabyciem młyna dla ojca Bernadetty, który przedtem trudnił się tym fachem, ale nie miał nigdy dość na dzierżawę. Zapewniło to rodzicom Bernadetty byt — ale nic więcej. Ciężka praca była ich udziałem do końca.

Co do samej Bernadetty, po wstąpieniu do klasztoru spełniała w nim najcięższe kuchenne roboty, bo, aby nie dać do niej dostępu szatanowi pychy, przełożona uznała za wskazane wyrobić jej opinię trochę głuptaczki. Poddawała się temu stanowisku bez szemrania. Z ubogich materiałów, jakie jej zakonne dzieje, w sensie osobistych doznań, nam pozostawiły, da się widzieć tylko jedno niezbiecie: że swoje chwilowe wyróżnienie przez Królową Niebios traktowała, jako łaskę nad łaskami, której cofnięcia potem, ani powodów przedtem, nie uważała za możliwe dociekać rozumem. Dlaczego Twórca bierze do ręki w danym momencie to, a nie inne narzędzie? Bo wydaje Mu się najspodobniejsze ku wykonaniu zamierzonego dzieła. W wielkiem dziele objawiania woli nieba na ziemi, „La Dame“ ujęła na chwilę w dłonie małą duszyczkę prostaczego dziecka — i dokonała cudów. Miljony uwierzyły, gdy Bernadetta, załamana ze wzruszenia głosem powiedziała: — Widzę! — Ale żeby dostąpić cudu,

trzeba uwierzyć w cud, tak, jak trzeba przelknąć pokarm, chcąc, aby nasycił.

Może nie wszyscy pamiętają dzieje Bernadetty? W Lourdes, do lasu za skałą, na której stoi dziś wspaniała Bazylika, a, która wtedy już była za miasteczkiem, dziewczynki często chodziły po chróst na paliwo. Oczywiście, biedniejszych rodziców; a mało było biedniejszych nad rodziców Bernadetty, którą wszyscy zresztą lubili za skromność i łagodność: pędzała baranki na paszę dzień w dzień i wszyscy widzieli, że najczęściej w takiej wędrownicy przesuwała swój wielki różaniec. Pobożne rodziny francuskie są gorliwiej praktykujące, niż u nas, jeśli już są pobożne.

I oto dnia pewnego łagodna, cichutka Bernadetta wróciła do domu tak zmieniona, że aż chora z przejęcia, nie chcąc jednak zdradzić powodu. Dopiero siostrzyczka, z którą była, wygadała wielką tajemnicę. Bernadette w grocie ukazała się jakaś nad wyraz piękna pani i rozmawiała z nią długo, jak z równą. Kazała jej przyjść jeszcze jutro, wogóle przychodzić przez dwa tygodnie. Bernadetta w życiu nie widziała tak wspaniałej i łaskawej pani, jak ta! Niewiadomo, jak znikła: poprostu, skryła się w skale. Bernadetta była tak wzruszona i zachwycona, że pod świeżym wstrząsem opowiedziała dziewczynkom o widzeniu, które i na nie wywarło wrażenie, głównie dzięki ekstatycznej twarzyczce i łzom spokojnej i zrównoważonej zawsze Bernadetty.

Dalsze dzieje są naprawdę rodzajem swoistej krucjaty małej, niepiśmiennej, wszystkim dotąd uległej dziewczynki, z całym światem. Przeciwno sobie miała całe miasteczko: mera, władze policyjne, duchowieństwo, współobywateli, ba! nawet własnych rodziców! Gdy już Bernadetty żadna siła ludzka nie mogła powstrzymać od pielgrzymek do Groty, w ilości, przez „Panią“ wymaganej, i kiedy za nią stopniowo zaczęły ciągnąć rzesze ciekawych: wszyscy zgodnie uznali, że jest histeryczką lub oszustką. Ale — tylko ci, którzy jej nie widzieli podczas jej rozmów z Królową Niebios, widomej dla niej jednej z tysięcznej rzeszy. Ci z jej twarzy czytali tak niezwykłą i potężną grę uczuć, zachwyty, ekstazy, uniesienia i uwielbienia, że technienie niewidzialnego podnosiło im włosy świętym strachem i rzucało czołem w proch. I wbrew policji, merowi i ministerskim zakazom, rzesze wyznawców rosły, jak powódź: za sobą miała poparcie Królowej Niebios — i zwyciężyła.

Czytając protokoły zeznań tej małej dziewczynki, gdzie odpowiada na najbardziej kazuistyczne pytania, mimowoli chwiałam głową. Jakże opornie jednak wierzymy w prawdę, od tylu wieków głoszoną i popartą faktami, że niebo wybiera za swoich tłumaczy z ziemią nie adwokatów wykształconych, tylko prostaczków, którzy nie zniekształcają jego mądrości domieszką własnego mędrkowania. Bernadecie także

nie chciano uwierzyć — a najmniej skory był kościół. I wyobraźmy sobie mękę tej dziewczynki, której Królowa Niebios „kaze iść do księży“ i ogłosić im, że na skale ma stać kaplica! Ci „księża“ — to przede wszystkim jej własny proboszcz, który jest dla niej całą władzą: zaledwie śmie przez fartuszek ująć do pocałowania jego rękę, gdy go spotka przypadkiem. I jemu to ma zanosić nakazy, wiedząc, co sądzi o jej objawieniach! A jednak zaniesie, a jednak nakaże! A jednak znajdzie siły, wolę i wytrwanie stać zkołei wobec każdego z uczonych trybunałów, pokonywując wszystkie. I jedynym argumentem, jakim operuje — jest brak argumentowania. Toteż wspaniałe są w swojej dziecinnej mądrości jej słowa do sędziów:

— „La Dame“ kazała mi opowiedzieć to, co widziałam. Nie dostałam jednak nigdy polecenia, aby kogokolwiek przekonywać!

Walka trwała w najbardziej fantastycznym trybie, z zabijaniem przez policję Groty deskami i z odbijaniem jej przez robotników, gotowych na śmierć bodaj dla chwały Królowej Nieba; z raportami międzyministerjalnymi i z groźbami w kierunku biednego młynarza, aby poskromił niepokorną na ten raz córkę. Przekupki klóciły się zaciekle z sędziami, aresztującymi je za wieszane w zakazanej Grocie vota; żandarmi odprowadzali i przyprowadzali Bernadettę na jej „seanse“ do Groty, w której technicy poszukiwali tajnej maszynery — robiącej cuda. A cuda się mnożyły, a pielgrzymki rosły. I trzeba było aż przyjazdu w owe strony samego cesarza (Napoleon III-ci), aby ten, uchwyciwszy szczęśliwie śmieszność i okrucieństwo takiej walki, kazał zdjąć barykady przed Grotą i zezwolił formalnie na kult, który wtedy wybuchnął z żywiołową siłą. Sprawdziło się życzenie „Pani“, wyrażone na jednym z widzeń Bernadetty:

— Pragnę, aby tu ludzie przyciągali gromadnie!

Bernadetta spełniła swoje posłannictwo: opowiedziała, co danem jej było widzieć; zakomunikowała zlecenia Królowej Niebios rodzinemu miasteczku; własnymi rękami odkopała w Grocie z pod piasku wskazane przez „Panią“ cudownej mocy źródło i dźwignęła na dzikiej skale potężną świątynię imieniu Marii, a stokroć potężniejszą — w milionie sere, które może już tego imienia nie pamiętały. Potem — odeszła. Stała się znowu tylko małą, ubogą pastuszką, pomagającą rodzicom i wyzbytą wszelkich cech cudowniczych. Przez wszechmocną Rękę, która się nią posłużyła dla swego dzieła, została odłożona na bok. Niewidoczna i najpokorniejsza, dokonała życia w celi klasztoru, zdaleka od ukochanej nad wszystko Groty. I tylko mała tabliczka przed alabastrowym posągiem w niszy przypomina, że tu oto klęczała Bernadetta — mała pastuszka, wybrana łaską Nieba na krzesicielkę cudu.



MARJA P. BROWOLSKA

OD MAZOWSZA DO PODHAŁA

IV raid samochodowy pań

14/IX Warszawa — Zakopane.

Jak wielki transparent jaśniały w wyobraźni mojej wyrazy: Warszawa—Zakopane—Wisła—Warszawa, 1200 klm.

Przed oczami słała się olbrzymia połać kraju, od piaseczków podmiejskich, aż po ośnieżone szczyty gór. Znane z zeszłorocznego raidu, wyborne odcinki dróg i przepastne wyboiska. W uszach dzwigały uwagi zagorzałych i przewidujących sportladies, które odbyły na próbę całą trasę i zdecydowały, że trudna jest bardzo, że może się stać i to i tamto.

Szósta rano. Cicha aleja Szucha gwarna jest i niezwykle ożywiona. Przed nową, wykwintną siedzibą Automobilklubu pełno maszyn i ludzi. Znajome twarze, uśmiechnięte prosto i szczerze, atmosfera koleżeństwa sportowego, które przez kilka dni bardziej zespala wszystkich, aniżeli długotrwałe obcowanie w salonie. Wśród 10 uczestniczek raidu są wybitne „asy” naszego sportu samochodowego.

Ubrane przeważnie w combinaises’y i hełmy, czekają na sygnał do startu.

Wyznaczona na odpowiedzialne stanowisko kontrolera, siadam na Nr. 2 sławnego Austro-Daimlera wybitnej automobilistki p. Koźmianowej. Wóz rasowy pod wprawna ręką startuje doskonale i miło mi notować „punkt dodatni” na dobrą wróżbę. Wyjeżdżamy o 7-ej i przez zaspane boczne ulice wypadamy na szosę grójecką. Ubogie zadrzewienie, szaryzna pól i brzydota budynków podmiejskich.

Raszyn. Na sekundę oko spoczywa na grobli, owianej duchem bohaterskiego księcia.

Tarczyn, Grójec, Białobrzegi, Jedlińsk. A dalej szosa, która się tylko tą nazwą na mapie może zaznaczyć. W rzeczywistości, bowiem, są to wyboiska, które dręczą nas na przestrzeni 10 klm., pomimo wolnej jazdy.



P. Podhorońska na starcie w Zakopanem.



P. Regulska przy zmianie koła pod Czorsztynem.

Nareszcie kończy się udręka. Adr zaczyna drgać szybkim tempem, mijamy Radom i rwiemy w stronę parterowego Szydłowca. Wdali majaczą Góry Ś-to Krzyskie, owiane mgłą poranku, i śliczne lasy Suchedniowskie. Zatrzymujemy się tam na parę minut, by rozprostować kości i jedziemy dalej, ku ślicznie położonym Kielcom.

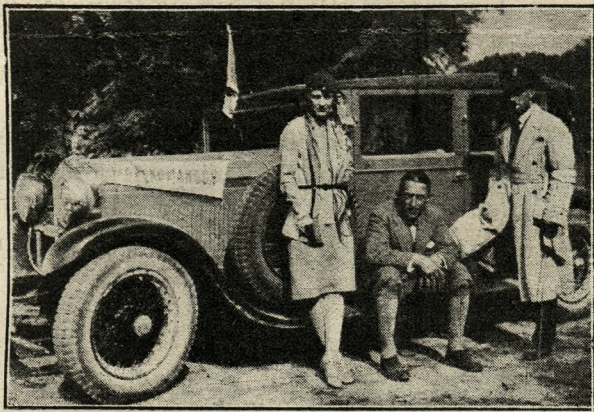
Mijamy ruiny zamku Chęcińskiego, sterczące na nagim wzgórzu. Przed nami nie obrzeżona drzewami, wapienna szosa i polna poźniwna pustka.

Za Słomnikami stajemy w cieniu drzew szosowych, na przydrożnej burcie robimy „camping”, krzepiąc się zawartością termosów i przeróżnymi pasami.

Na chwilę zatrzymuje się przy nas na swym czerwonym Austro-Daimlerze prezes komisji sportowej p. Regulski, oznajmiając nowiny raidowe. Oto trzy panie się „skończyły”: jedna zatarła motor, druga zgubiła zapasowe koła, trzecia złamała resor. Jeżeli na naprawionych wozach pojedą dalej, to ilość „punktów karnych” uniemożliwi im współzawodnictwo z temi paniami, które zdołają całą trasę przebyć „na czysto”.

Debatując tedy nad dalszemi losami raidu, wpadamy do Krakowa. Nie widać tu policji, której uprzejmość dotychczas stale nam towarzyszyła, to też przejazd przez miasto nie należy do łatwych. Ratuje sytuację kierowniczką, która zna miasto doskonale. Sypie parę sportowych przekleństw, gdzie trzeba, i wyprowadza wóz przez Podgórze na zakopiańską szosę. Z zakrętu widać za nami strzeliste wieże Marjackiego kościoła. Za chwilę wzrok tonie z rozkoszą we wzgórzach zadrzewionych i zalesionych, gdzie tu i owdzie miga czerwony dach kościelny, lub białe ściany chałup.

Mogilany, Myślenice, Stróża, Lubień z cichym żydowskim kirkutem, co obcym głosem zda się wołać wśród wzgórz pogodnych. Przejeżdżamy przez



Na starcie górskiej próby szybkości, na 2 km. od Nowego Sącza, vice komandor p. Marjański z obsadą swego wozu.

miasteczka podgórskie, stokroć ładniejsze i bardziej malownicze od naszych mazowieckich miścin. Pniemy się w górę równym tempem, na otwartym tłumiku, na zakrętach dając sygnały ostrzegawcze. Gdzieś w dole, na lewo, leży Rabka w promieniach słońca, chyłącego się ku zachodowi, a przed nami widnieje rozległy szmat górzystego krajobrazu z ciemnym zarysem Tatr na widnokręgu.

Spokojne, pewne ręce p. Koźmianowej kierują wozem coraz wyżej, wolno, gdyż „czas” mamy doskonały i nadrabiać nic nie trzeba. Wreszcie Chabówka, Nowy Targ, Poronin: zapach świeżych bierwion na nowych budowlach, stadka siwych i czarnych owiec, spędzanych z hal przez śmigłych juhasów; czarna, groźna ściana Giewontu i krzyż na jego szczycie.

Wjeżdżamy do Zakopanego, do parku samochodowego, koło pomnika Jagiełły. Około 5-tej ściągają wszyscy. Nadjeżdżają też trzy panie, które miały wypadki: p. Paprocka na Zetce, wytrzymała p. Gebethnerowa na Steyerze i zapalona p. de Lavaux, której fabryka dostarczyła niedość przygotowaną maszynę; zastąpiwszy ją tedy inną Zetką, podąży, wytrwale za raidem.

Auta zostają pod opieką władz bezpieczeństwa, my wszyscy hotelowym autocar'em jedziemy na nocleg do Bristolu. Gwar kilkudziesięciu osób napelnia hotelowe mury. Woda chlupie, bulgoczą wanny.

Czyści i zadowoleni, zjadamy kolację w atmosferze koleżeństwa, dumni z ciężyzny naszych pań. Około dziesiątej idziemy spać, bo z rozkazu komandora raidu p. Grabowskiego, któremu winniśmy posłuszeństwo, mamy wstać o 4-tej. Ten rozkaz przyjmujemy do wiadomości i wykonania, urągając nań w duchu.

Na niebie migoczą gwiazdy i majaczy twardy i zimny Giewont.

15/IX Zakopane — Wisła.

Równomierne i systematyczne pukanie numerowego do drzwi i pomruki z wewnątrz utwierdza-

ją wszystkich w przekonaniu, że to już 4-ta i trzeba wstawać. Spotykamy się wkrótce na śniadaniu, ubrani raidowo. Niestrudzony p. Bitschan biega od stolika do stolika, pytając, czy jesteśmy dobrze obsłużeni? I ten jeszcze jeden dowód jego troskliwości o nas spotyka się z powszechnym aplauzem.

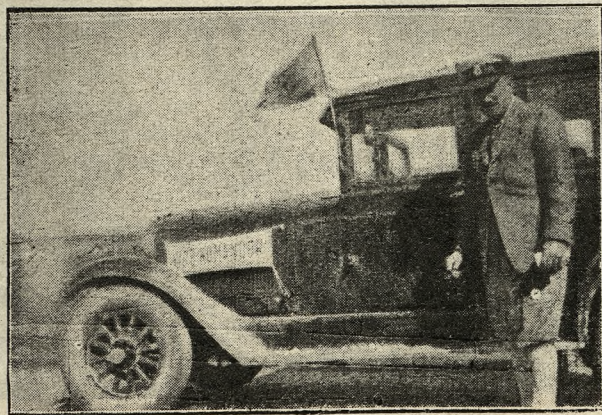
Wylegamy gwarnie na taras, pakujemy się na motorcar, jak kto może, i dążymy na start.

Przed sznurem, okalającym park samochodowy, kontrolerzy są wywoływani według nazwisk i wyznaczani do wozów, przy których stają pierwsi. Jadę z doskonałą kierowniczką p. Podhorodeńską na Citroen Nr. 4. Przez pół godziny trwa obowiązujące szykowanie wozów, poczem obsady siadają na komendę, czekając na start. Dzielną kierowniczką startuje dodatkowo, trzymając wóz na rozruszanym silniku przez przepisowe 2 minuty, poczem sprawnie wyprowadza nas przez Zakopane.

Zostaje za nami Giewont we mgle, Dunajec szumi czysty i zimny, a chłodny wiatr przejmując do głębi. W ten niedzielny poranek pełno na drogach młodych, odświeżonych odzianych górali i góralek. Mijamy naiwne bramy triumfalne, wzniesione z powodu jakiejś miejscowej uroczystości, przybrane w świerczynę i wycinane z drzewa postacie górali. Jeden z nich odziany jest w prawdziwą cuchę!

Dalej znakomitą szosą jedziemy znów przez Poronin i Nowy Targ. Z gór spływa fala chłodnej mgły, a wznoszony przez auta kurz zakrywa zupełnie drogę i utrudnia kierowanie. Pomimo tego, podziwiamy precudną dolinę Dunajca, okoloną Piecinami i romantyczne ruiny zamku na Czorsztyńcu. Mkniemy szpalerami świerków i wierzb, zrastających się ku górze, nakształt głębokich, zielonych tuneli.

Skrećmy na Krościenko i pędzimy szosą, wijącą się nad Dunajcem, biorąc ślicznie wszystkie zakręty. Sprawnie wiedziona „Cytrynka” niesie naprzód szybko, lekko i pewnie, przez Zabrzeż i Stary Sącz, sygnalizując na wszystkich zakrętach i ostrożnie niosąc po miejskich brukach. Mijamy wciąż sta-



Vice - komandor p. Bitschan.

rannie utrzymane i ładne miasteczka, wiejskie kwiatne ogródki. Wszędzie znać kulturę.

Wpadamy do Nowego Sącza. Za nim bije w oczy zawieszony wpoprzek szosy transparent z napisem „Start”. Stoją już rzędem wozy, co wcześniej przybyły, i auta krakowskiego klubu, który wzorowo przygotował start. Mamy wyznaczoną godzinę postoju na wypoczynek i przygotowanie do wyścigu

górskiego. Tymczasem odwiedzają się wszyscy, oglądają maszyny; panie, ukrywając treść, krzepią się posiłkiem i zwolna jadą badać 3 strome wiraże i całą 2 klm. przestrzeń wyścigu.

Wszyscy żywią głębokie przekonanie, że zwycięży p. Regulska na swym Fiacie, na którym tyle już zdobyła nagród i z którym jest tak doskonale zgrana.

(d. n.)

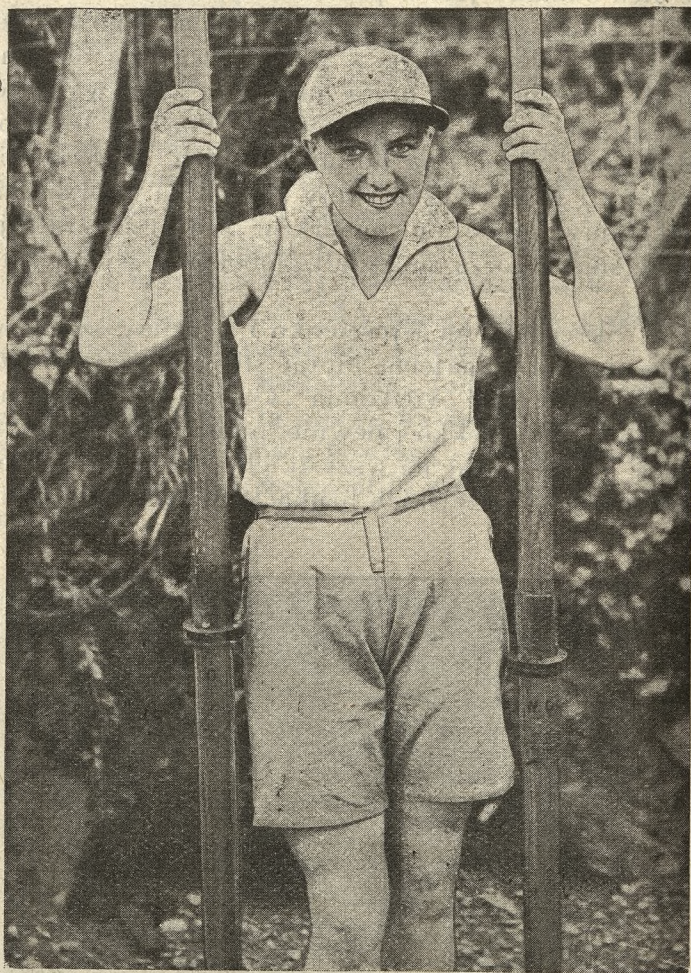
POLKI GÓRA!

Świetne zwycięstwo sportowe wioślarek naszych nad Angielkami

— Czy nie za wiele ambicji? Wszystko to pięknie, ale poco przesadzać? Obawiam się, że nasze panie porywają się na zbyt wielkie rzeczy...

Tak mówił do mnie znany sportsmen, na wiadomość, że Warszawski Klub Wioślarek zamierza stanąć do regat przeciw reprezentacyjnej osadzie angielskiej i czyni wielkie wysiłki, by móc tę imprezę doprowadzić do końca pod względem finansowym.

Ostrzeżenia były zupełnie usprawiedliwione.



Miss Kirton, zwyciężczyni biegu przeciw p. Grabickiej w Międzynarodowych regatach kobiecych.

Sporty wodne w Anglii mają wielkie i stare tradycje. Wioślarze angielscy, przekonani o swej niezawodnej wyższości nad sportowcami innych krajów, zapuszczają się na kontynent europejski bardzo rzadko. Wyjątkowe spotkania kończą się z reguły porażką przeciwników osad angielskich.

Zgłoszona do Polski osada kobieca reprezentacyjna pobiła już poprzednio francuzki i belgijski. Nierównie lepsze warunki bytu w Anglii, większa zamożność jednostek i klubów, lepszy dzięki temu trening — wszystko to przyczyniło się do stworzenia bądź co bądź silniejszego typu sportsmenek, niż w Polsce, gdzie kobiety stosunkowo od niedawna uprawiają sporty wodne, a wskutek ogólnych warunków ekonomicznych skala życia i odżywiania się jest gorsza i sport jest dodatkiem do pracowitego, często wyczerpującego życia, poświęconego pracy zarobkowej, więc z konieczności treningi mogą zajmować mniej czasu i siły.

Odwaga, czy „przesadna ambicja” naszych wioślarek odniosła jednak piękne zwycięstwo. Wbrew oczekiwaniom — osada angielska została pobita...

Regaty, zorganizowane w dniu 15 września w Warszawie przez Warszawski Klub Wioślarek, stały się dzięki temu ewenementem europejskiego znaczenia. Nie można niedoceniać lub lekceważyć propagandowej siły takiego faktu, zważywszy, iż zagranica interesuje się sportem namiętnie i zwycięstwa sportowe są częstokroć szerzej i obszerniej omawiane w prasie oraz czytane przez rzesze publiczności chętniej i z większym przejęciem, niż artykuły polityczne i społeczne.

Gdy do Warszawy, na parę dni przed regatami, przybyły wioślarki angielskie, miały już w ręku stos wycinków z całej prasy angielskiej, która obszernie omawiała wyjazd przedstawicielek Anglii do Warszawy. Korespondenci pism angielskich zjawili się na regatach w Klubie Wioślarek, by przesłać naoczne relacje swym pismom zagranicę.

Imię Polski dzięki czynowi naszych wioślarek



Na finiszu. Widać dokładnie przewagę polek nad angielskimi.

okryło się znowu chwałą; zainteresowanie i szacunek dla rasy, która zwycięża na polu dotychczas niezwykczym, narzuca się obcym narodom siłą faktu.

Regaty warszawskie odbyły się pod protektorem pani Prezydentowej Michaliny Mościckiej i główna rozgrywka — bieg czwórek — toczyła się o nagrodę jej imienia.

Moment niezwyklej emocji, gdy łódź warszawianek o niemal dwie długości wyprzedziła łódź angielską — wywołał niebywały entuzjazm.

Pani Prezydentowa Mościcka własnoręcznie wręczyła puchar zwycięskiej osadzie W. K. W. i również kazała sobie przedstawić zwyciężone, bardzo godnie porażkę znoszące, angielski.

Świetne wioślarki angielskie — bo odznaczają się doskonałą formą, wytrenowaniem, zwinnością (wszystkie młode, od 20—25 lat), przyznały szczerze, iż napotkały po raz pierwszy przeciwniczki tak znakomite. Wszędzie zwyciężały z łatwością.

Nawet zwycięstwo na jedynkach, odniesione przez zawodniczkę angielską, przyszło nie bez dużego wysiłku.

Warto zanotować wyniki:

W biegu jedynek p. Evie Kirton (St. Georges Rowing Club) pobiła p. Janinę Grabicką o jedną długość, robiąc 1.200 metrów w 6 minut 53.2 sek.

Różnica czasu zawodniczek polskiej wynosiła tylko 1.4 sekundy.

W biegu czwórek uczestniczyły ze strony angielskiej pp. W. Boddington, G. Lovell, T. Emmet, H. Linton pod sterem p. W. Heath — wszystkie z „Ace Ladies Rowing Club”; ze strony polskiej — osada Warszawskiego Klubu Wioślarek w składzie: J. Jamnicka, J. Kwaśniewska, M. Gaszczyńska, J. Grabicka pod sterem p. M. Dziewulskiej.

Zwycięska osada polska zrobiła bieg w czasie 5 minut 37.8 sek. Czas angielski był o 4.9 sek. gorszy.

W szeregu innych biegów uczestniczyły kluby wioślarek polskich z różnych miast. Okazało się, że wioślarstwo robi ładne postępy: osady Kalisza i Bydgoszczy odniosły zwycięstwa nad klubami stołecznymi. Będzie to niezawodnie zachęta do dalszego rozwoju i tak wdzięcznej pracy, jak uprawianie sportów wodnych.

— Czy należy przywiązywać głębszą wartość do sukcesów sportowych? — zapyta może jeszcze niejedna intelektualistka.

Na każdym polu starać się o pierwszeństwo — jest godnym i szlachetnym zadaniem. Wszędzie bowiem możemy doskonalić siebie i nieść pożytek społeczeństwu. A zwycięstwo jest chlubą wszystkich, staje się udziałem ojczyzny i całego świata. Więc chyba to niemało... J. K.

Z TEATRÓW

TEATR „ATENEUM“

Eleonora Kalkowska: „Sprawa Jakubowskiego (Józef)” — sztuka w trzech aktach. Przekład Józefa Brodzkiego. Reżyser Janusz Strachocki, dekorator Stanisław Węgrzyn.

— W teatrze „Ateneum” będziemy grali te utwory sceniczne, które stanowią artystyczny wyraz rzeczywistości dzisiejszej. — Z tą dewizą, która może ścieśniać zadanie teatru, ale jednocześnie rozszerza jego zakres oddziaływania — rozpoczyna p. Marja Strońska swoją pracę kierowniczą w teatrze „Ateneum”. I kto wie, czy właśnie przezwyciężenie tej „fatalnej przestrzeni, jaka częstokroć dzieli scenę od widza”, nie jest dziś istotnym powołaniem teatru.

Bo teatr, który w ostatnich piętnastu latach poszukiwał bez skutku autora i zatracił się w reżyserskich wymysłach, musi, jak każde tworzywo artystyczne, powrócić dziś do form rzeczywistych, aby oświecić i pogłębić prawdę życia. Dziś przecież mniej, niż kiedykolwiek, uciekamy od tej prawdy, która się przejawia w odradzaniu się instynktu i wzbogaca się żywotną energią, jako naturalnym ekwiwalentem wojennych strat — fizycznych i moralnych. Jesteśmy więc rozciekawieni sami sobą i sami sobą zdumieni. Chcemy poznać przyczynowość działania się, odbywającego się skróconym trybem i ze wzmogłą intensywnością. Wiemy wreszcie, że wojna odgrodziła nas od perspektywy wieków minionych, i wszystko, co jest współczesne, ma swój bliski początek bodaj w dniu dzisiejszym, a nie w mgławicy czasów przeszłych. Rozpiętość naszego życia — to jego rzut w przyszłość, to tworzenie się nowych pojęć dla użytku przyszłości.

I dlatego taki teatr współczesny, w którym zapanuje „Prawda czasów” i który będzie źródłem „dobrych przeinaczeń duchowych”, może stać się nie tylko koniecznością artystyczną, ale i sprawdzianem moralnym naszych dzisiejszych dążeń, naszych dzisiejszych, niewypróbowanych jeszcze całkowicie, form życia.

Z radością stwierdzamy, że właśnie kobieta pojęła tę przydatną współczesność teatru i że kobieta wykazała odwagę wyrzeczenia się snobizmu i zakłamania. Pani Strońska będzie miała tę zasługę, że pierwsza u nas zesłała z manowców i wyznaczyła teatrowi drogę zarówno artystyczną, jak i — obywatelską. Nie wątpimy, że zamiar jej się uda i życzymy jej tego z koleżeńską serdecznością.

Pierwsza sztuka, wprowadzająca w życie program dyrekcji „Ateneum”, wykazuje wartość rzeczywistego faktu, prze-
transponowanego na użytek sceny. Musimy, bowiem, uświa-



P. Marja Strońska, dyr. teatru „Ateneum”.

domię sobie swój stosunek nie tylko do samej akcji, ale także rozważyć swój współczujący stosunek do wielorakich zagadnień, mieszczących się w sztuce p. Kalkowskiej. W Niemczech, gdzie aktualność „Sprawy Jakubowskiego” zmuszała przede wszystkim do rewizji uczuć nacjonalistycznych, sztuka Kalkowskiej była jakgdyby sensacją prawdomówności. U nas ten moment, mimo wszystko, t. zn. mimo wyczuwania niemiecko-szowinistycznych czynników, działających w sprawie Jakubowskiego — jest mniej silny, a zato na pierwszy plan wysuwają się zagadnienia humanitarne. Omyłka sędziów — w tym poszczególnym wypadku, zaciętych i stępiących od nienawiści rasowej — staje się dla nas problemem, zmuszającym nas do podjęcia kwestji kary śmierci.

Odrzućmy przed sobą wielki temat, temat ogólnoludzki. Zawsza już przystępują literaci do tego zagadnienia i niejednokrotnie rozprawiają się z „rozprawami sądowymi” z nieugiętością kodeksów, ze ślepotą Temidy. Przypomnę tu choćby powieść Wassermanna „Sprawa Mauritiusa”, albo nawet satyryczno-sensacyjny dramat amerykański „Proces Mary Dugan”, grany teraz w Teatrze Letnim. Tak więc sędzia i badaj cały trybunał stanął teraz przed trybunałem opinji, która nawoływała do bardziej subtelnej i wnikliwej rozważania losów ludzkich.

W sprawie Jakubowskiego gruboskórni sędziowie niemieccy, przepelnieni frazeologją o moralności, wykazali karygodny brak intuicji i zrozumienia psychiki oskarżonego. Szu po linii najmniejszego oporu, widząc w podsądnym tylko zdemoralizowanego obcokrajowca. Ci sędziowie nie byli nawet chytry, nie zgrzeszyli podstępnością zadawanych pytań — byli apriorystyczni i dlatego ich błąd sądowy tkwi zarówno w nich samych, jak i w zasadzie, w formie, w niewzruszonej metodzie sądownictwa niemieckiego. Formalistyczna procedura wystrzugała takie drewniane mózgi i takie zarożumiałe, o swojej słuszności przeświadczone, serca.

Gdy więc Kalkowska pokazała niemiecki skandal sądowy niemieckim widzom, wstrząsnęła do głębi ich poczuć winy. Publiczność niemiecka bez sprzeciwu przyjęła oskarżenie, a prasa sztukę Kalkowskiej oceniła dodatnio. Może jej nawet przyznała więcej walorów artystycznych i scenicznych, niżbyśmy jej my mogli przyznać. Bo my odnieśliśmy wrażenie, że autorka nie przetworzyła artystycznie surowego materiału. Ten „reportaż poetycki” chwilami raził nas, sama sprawa wydawała się nam nie pogłębiona, a jej motywy wewnętrzne raczej obliczone na efekt. Niemniej też i budowa sztuki — rozdrobnienie na sceny, naświetlające poszczególne fakty z życia Józefa Jakubowskiego — świadczy o „obrazowości”, a nie o pragmatycznym założeniu.

Mimo tych wad, posiada utwór p. Kalkowskiej kilka momentów bardzo dobrych, kilka chwytów silnych, przypominających najlepsze naturalistyczne dramaty Hauptmanna.

Dzięki doskonałej grze Strachockiego postać tytułowa była prawdziwa i wzruszająca. Także pp. Mysłakowska, Żeleński, Ziemiński, Bohdańska stworzyli żywych ludzi. Sceny ensemblowe wypadły dobrze i wogóle widoczny był wysiłek wszystkich aktorów, żeby grać — naturalnie.

Widownia, na premierze trochę sztywna i oficjalna, pod koniec sztuki rozgrzewała się i rozrzucała na l nieszczęśliwą dolą bohatera.

Herminja Naglerowa.

KOBIETA W ŚWIECIE I W DOMU

LAUREATKA KONKURSU „ROJU” NA POWIEŚĆ HISTORYCZNO - OBYCZAJOWĄ.

Skład Sądu Konkursowego — w osobach Wacława Sieroszewskiego, Prof. Uniwers. Wacława Tokarza, Piotra Chynowskiego, Juliusza Kaden-Bandrowskiego i Melchjora Wańkowskiego — na posiedzeniu w dniu 18 b. m. przyznał większością głosów pierwszą nagrodę (1.000 złotych) pracy p. t. „Celadon i Astrea” pod godłem „Honny soit qui mal y pense”; drugą nagrodę (500 złotych) pracy p. t. „Nierząd” pod godłem „Jeżeli gryzę to sercem gryzę”; trzecią nagrodę (250 złotych) pracy p. t. „Pojedynek JMP Tarły”, opatrzonej godłem „Subspecie”; czwartą nagrodę (250 złotych) pracy p. t. „Dwa śluby”, opatrzonej godłem „Jastrzębiec”.

Po otwarciu kopert okazało się, że pierwszą nagrodę otrzymała p. Jadwiga Kiewnarska (Warszawa), drugą nagrodę p. Jan Moriconi (woj. Wileński), trzecią nagrodę p. L. Ryszkowski (pseudonim), czwartą nagrodę p. Władysław Jankowski (Toruń).

Zaznaczamy, że p. Jadwiga Kiewnarska, znana jest dobrze czytelnikom „Bluszu”, jako autorka zajmujących i wytwornych feljetonów z dziedziny sztuki i mody, podpisanych pseudonimem „Well”.

SEKCJA POŚREDNICTWA PRACY DOMU AKADEMICKIEK.

Zawdzięczając usilnym staraniom i uporczywej energii Akademickiej, w Warszawie na placu, darowanym przez Sejm, w przeciągu paru lat wyrósł wspaniały „Dom Akademickiej”, który zagranicą nazwanoby pałacem, gdyż śmiało może rywalizować z tak powszechnie chwalonym, fotografowanym, opisywanym w prasie naszej i zagranicznej, znanym „pałacem Kobiety” w Paryżu. W domu tym, zapewniającym wygodę, spokój w nauce, a nawet skromny komfort, młode mieszkanki gospodarują same, mają własny zarząd, prowadzą własną kuchnię, a wszędzie ład i porządek.

Wszystkie niemal akademickie, dążąc do uzyskania dyplomów, muszą zarobkować na swe utrzymanie, to też przy Domu Akademickiej została założona Sekcja Pośrednictwa Pracy w celu dostarczania pracy tym, które jej poszukują. Sekcja ta poleca wykwalifikowane nauczycielki i korepetytorki w zakresie wszystkich przedmiotów, również biuralistki, kreślarki, higienistki, pielęgniarki, ogrodniczki i t. p. Zgłaszać się można w Warszawie: Górnoślaska 14 — tel. 522-44.

NASZE UCZELNIE ARTYSTYCZNE

Wśród współczesnej młodzieży żeńskiej obok masowego, a często bezkrytycznego pędu do studjów uniwersyteckich, daje się zauważyć, mocniej z wrodzonymi skłonnościami i uzdolnieniem jednostek związanych, pociąg do zawodów artystycznych. Nie myślimy tu, rzecz prosta, ani o kinie, ani o tańcu — tych dwu pokusach łatwego (pozornie) zdobycia sławy i kariery; pomijamy muzykę, której nauka przestała już być dzisiaj zmartwieniem, a stała się przywilejem rzadkich talentów. — mamy na oku zdolności w ścisłym tego słowa znaczeniu plastyczne.

W tym zakresie niezmiernie ważne znaczenie ma nie tylko zróżniczkowanie uzdolnień, jakimi rozporządzamy, ale również całkowite uświadomienie sobie skali swych możliwości i założeń życiowych. Nie każdemu danem jest zostać wielkim artystą, ale każdy, posiadający nie tylko talent, ale nawet przeciętne zdolności artystyczne i wrodzony smak, powinien je kształcić pod właściwym kierownictwem i rozwijać na odpowiednim terenie.

Poziom kultury artystycznej narodu polega nie na istnieniu kilku genjuszów, których arcydzieła można oglądać w muzeach, ale na zbiorowym wysiłku bezimiennych pracowników, którzy na wszystkich przedmiotach codziennego użytku kładą piętno sztuki.

Sztuka musi zejść z koturnów, musi objąć najdrobniejsze przejawy życia, musi z odświętnego gościa przerodzić się w domownika naszych wnętrz — oto hasło dzisiejszych prądów artystycznych. Przenika ono nawet przez mury akademii, poświęcanych pielęgnowaniu sztuki czystej, a jakie piękne i zdrowe wydaje owoce. dowodem tkaniny „Ładu” i praca uczniów warszawskiej Szkoły Sztuk Pięknych przy komponowaniu i urządzaniu poszczególnych pawilonów na Wystawie Powszechnej w Poznaniu.

Musimy sobie jednak uświadomić fakt, że Szkoła Sztuk Pięknych, postawiona na poziomie akademii, jest bezwarunkowo środowiskiem, odpowiednim dla elity artystycznej. Jednostki przeciętne, o szczupłym horyzoncie twórczym, są tam zbędnym balastem i narażają się na niepotrzebne zwichnięcie skrzydeł, które nie mogą dotrzymać lotu potężniejszym współzawodnikom, a na innym terenie i z mniejszym obciążeniem stanowiłyby motor całkowicie wystarczający.

I jeszcze jeden ważny moment życiowy: akademia doskonali prawdziwego artystę, ale nie stwarza fachowca. Wielki talent da sobie jakoś radę w życiu, średniemu już ciężiej, mały najczęściej nie wytrzyma konkurencji i zmarnuje się. Otóż właśnie dla tych średnich i małych talentów, które ze sztuką muszą godzić pojęcie fachu i zarobkowania, istnieją w War-

szawie szkoły artystyczne, prowadzące obok czystego rysunku, malarstwa i rzeźby, obowiązkową naukę sztuk dekoracyjnych i zdobniczych.

Zacznijmy ich przegląd od instytucji najstarszej i najdostępniejszej, przeznaczonej w pierwszym rzędzie dla fachowców.

Przy ul. Chmielnej Nr. 52 mieści się Muzeum rzemiosł i sztuki stosowanej, założone przed 38 laty w celu wprowadzenia pierwiastka artystycznego do rzemiosła i przemysłu. Przy Muzeum, posiadającym bibliotekę i bogate zbiory wycinanek i wzorów architektury ludowej, istnieje uczelnia, rozpadająca się na trzy odrębne działy: trzyletnią szkołę zdobniczą przygotowawczą, dwuletnią szkołę specjalną dzienną i kursy wieczorne dla osób, pracujących zawodowo w rzemiośle. Do szkoły zdobniczej przygotowawczej przyjmowani są uczniowie i uczennice z cenzusem 4 klas szkoły średniej, lub z ukończoną szkołą powszechną.

Do szkoły specjalnej przyjmowani są ci, którzy przeszli trzyletni kurs szkoły przygotowawczej, lub eksterni, mogący się wykazać odpowiednią znajomością rysunku i malarstwa.

Szkoła specjalna ma na celu kształcenie uczniów na samodzielnych kompozytorów zdobniczych i kierowników wytwórni artystycznych. Przedmiotami wykładowymi są: malarstwo — prof. Wiczorekiewicz, rzeźba — prof. Podgrabiński, grafika — prof. Bartodziejski i Podolski, architektura i zdobnictwo wnętrz — p. Żniński.

Kursy wieczorne, przeznaczone dla zawodowych rzemieślników, obejmują: ślusarstwo, artystyczne, brązownictwo, cyzelerstwo, rzeźbę zdobniczą, stolarstwo, malarstwo dekoracyjne, hafciarstwo i koronkarstwo. Oprócz tego prowadzony jest czteromiesięczny kurs kilimów.

Oplata roczna wynosi: w szkole przygotowawczej 150 zł., w specjalnej — 200 złotych za 7 godzin zajęć dziennych; na wieczornych — 48 zł. za 2 godziny dziennie.

Uczniów Muzeum posiada 600. Największą frekwencją cieszą się zawodowe kursy wieczorne. Rok szkolny zaczyna się w połowie września.

Zaznaczyć należy, że Muzeum, które przez dłuższy czas pozostawało pod wpływem metod przestarzałych, wkracza powoli w nową fazę rozwoju, dając swym uczniom możliwość twórczej kompozycji w materiale. Do całkowitego opanowania tego materiału staje jeszcze na przeszkodzie brak odpowiedniej ilości warsztatów. (d.k. nas.)

II. Z.

Skarga

Powiadają żem piękniejsza, czemu więc, dlaczego Janka wciąż ma pomoderzenie, ja nie mam żadnego? Czeka, powiem Ci na uszko, bo Troja rywalka Wykorzystać umie urok perfum ŻAKA „HALKA”...

REORGANIZUJMY NASZE OGNISKA DOMOWE

Miejsce, w którym się przyrządza, gotuje, kraje, wydaje na stół potrawy, powinno, zdawałoby się, być jak laboratorium uczonego, co pracuje nad zdrowiem ludzkości, boć przecie nasze pożywienie stanowi o naszym zdrowiu i sile do pracy. Niema większej w domu klęski, jak choroba, i trudniejszego powrotu, jak właśnie powrót do zdrowia.

Zdrowie domowników stanowczo ma w rękach swoich pani domu, bo zarówno dobór pożywienia, jak i smak potraw decyduje o apetycie spożywających, a zatem o dobrym odżywianiu się, nie mówiąc już o specjalnej diecie, którą stosować należy w zależności od wieku i stanu zdrowia osób, wchodzących w skład rodziny.

Te laboratoria, a więc kuchnie, w Ameryce, Australji, częściowo w niewielu wypadkach i w Europie (Belgja, Holandja) — są wzorowo urządzone, wyłożone od góry do dołu kaflami, uzbrojone w gazowe i elektryczne piece, upiękzone wszystkimi nowoczesnymi maszynkami i przyrządami... jest to cały arsenał postępu, higieny, miejsce, niedostępne dla kurzu, bezład, brudu. A u nas? — przypomnijmy sobie, jak się mówi w domu: wyrzuć to do kuchni! z tem idź do kuchni! wprowadź tego człowieka do kuchni (często brudny żebrak); wytrzep to w kuchni, zostaw kalosze w kuchni (zablocone lub ośnieżone), — wszystko więc, co najgorsze, najniewygodniejsze, najbrudniejsze, u nas wysyła się do — kuchni.

Dodajmy do tego, że u nas w kuchni zawsze sypia służąca. Wyjątek stanowią nowe domy, w których przy kuchni mieści się pokoik służbowy, ale z domów tych korzysta minimalny procent obywateli.

Oczywiście trudno, aby nasze zaniedbane kuchnie, będące warsztatem wszelkich nieczystości, zamieniły się nagle cudem w laboratoria, wyłożone kaflami, ale przecie w miarę naszych możliwości możemy je zamienić jeśli nie we wzorowe, to przynajmniej w niebudzące odrazy miejsca, gdyż przecie one, — nie zapominajmy o tem, — decydują o zdrowiu całej rodziny.

Ściany kuchni należy dwa razy do roku bielić, a jeśli kto może sobie na to pozwolić, wymalować do połowy farbą olejną, i to nie ciemnym kolorem, „żeby się nie brudziło“, — brudzić się musi — ale właśnie na białe, żeby brud usunąć, jak tylko będzie go znać!

Podłogę kuchni należy bezwarunkowo malować olejno. Uniknie się tym sposobem szorowania podłóg, a więc wprowadzania wilgoci, robaków pod szparami okładzin; podłogę taką codnia wyciera się wilgotną ściereką i jest czysta.

Naczynia w kuchni najzdrowsze są aluminiowe, patelnie żelazne; unikać należy naczyń emaljowa-

nych, emalja bowiem pęka i, dostawszy się do naszego organizmu w potrawach, powoduje zapalenia kiszek, a nawet ślepej кишки.

Dostateczna ilość ścierek, stale grzana woda w kociołku umożliwią znośną czystość, w ramach naszych możliwości. Zwrócić muszę uwagę, że najlepiej nie wycierać naczyń i szkła ścierekami, które przeważnie bywają brudne i tylko rozmazują brud po powierzchni, lecz wysuszone naczynia przetrzeć czystą płócienną ściereczką; taki sposób jest doprawdy praktyczny i higieniczny.

Dwa stoły, choć jedna szafka z naczyniami, łóżko, o ile się da, zastawione i pokrywane czystą perkalową zasłonką, nawet w naszych skromnych warunkach uczynią z kuchni miejsce, jeśli nie wzorowe, to przyzwoite.

Pod klątwą zawleczenia do potraw mikrobów i nieczystości wykluczone jest czyszczenie w kuchni ubrań (stale się to u nas praktykuje!), czyszczenie z błota obuwia (powinno się odbywać w sieni), rzucanie w kąt kurzu, pełnych kurzu, czyszczenie na domownikach płaszców, rzucanie pieniędzy po powrocie z miasta na stół, na którym leżą: chleb, masło i tym podobne prowianty (zgroza!):

Ręce po przeliczeniu pieniędzy należy natychmiast umyć. Pieniądzy nie wolno nigdzie kłaść, prócz portmonetki, gdyż wiadomą jest rzeczą, że gromadzą się na nich wszelkie bakterje; pomyślmy, przez wiele i jakich rąk przechodzą pieniądze, a będziemy mieli obraz, jaki ogród obrzydliwości i rozsradników chorób zjadamy z masłem, chlebem i t. d.! W naszych domach pieniądze rzuca się wszędzie, a pani domu najczęściej robi rachunki po „herbacie“ na obrusie. To są rzeczy zgoła niedopuszczalne, przynoszące szkodę zdrowiu; w tem niechlujstwie wychowują się nasze dzieci, bawią się pieniędzmi, biegają z pieniędzmi w rękach bez rękawiczek po chleb, którego bezpośrednio temi samymi rękami się dotykają!

Nie poruszam tu sprawy higieny osobistej, nie mogę jednak przy tej okazji przemilczeć, że jesteśmy narodem, używającym, według statystyki, najmniej mydła; w naszych łazienkach, o ile takowe posiadamy, często gromadzi się jedynie stare graty; po naszych dworach łazienka jest zjawiskiem, a ubikacja na wodzie budzi szczery podziw. Tak dzieje się i po bardzo zamożnych dworach. Poprostu brak potrzeby.

Gdy więc kuchnię naszą w myśl choćby tych najpierwotniejszych wskazań urządzimy, należy pomyśleć o osobie, która stale w niej przebywa, gotuje, przyrządza potrawy, podaje nam, przez której ręce wszystko dosłownie przechodzi. Służąca musi być czysta.

Nasze służące są brudne. Myją się rzadko, ubierają brudno, bez fartuchów, nie noszą na głowie chustek lub czepków, słowem — są żywą ilustracją naszych oplakanych pod tym względem stosunków. Co nie przeszkadza wcale, że ta sama, brudna w ciągu

tygodnia dziewczyna, w niedzielę kładzie jedwabną bluzkę i jedwabne pończochy i idzie z „narzeczonym“ do kina.

Taki jest stan faktyczny; zmienimy go, żądając czystości na codzień i utrzymując ją same, choćby jako przykład dla uboższych duchem, dając służbie naszej fartuchy, traktowane, jako inwentarz domowy, zmuszając naszą służącą do cotygodniowej kąpieli.

Niestety, nie wszystkie domy warszawskie i na prowincji mają wanny: jednak wiemy o tem dobrze, że przy dobrych chęciach można się umyć i na balji, i na misce; czysty człowiek, posiadając nawet tylko dwie koszule, będzie miał zawsze na grzbiecie czystą.

Pamiętajmy, że sprawa kuchni — to sprawa naszego zdrowia; urządzajmy ją pod znakiem farby olejnej i czystej służącej, a także, o ile nam warunki materialne pozwolą, pod znakiem gazu i elektryczności.

Elektryczne żelazko, elektryczny imbryk na herbatę — to już wielki krok ku amerykanizacji naszych wnętrz, jeszcze bardzo prymitywnych pod względem komfortu.

Niestety, wiele polek amerykańskich, które chciały się przesiedlić do dawnej ojczyzny — poznawszy warunki lokalne, poprostu uciekły od nas w popłochu. Uważały one, że ażeby mieć znośne warunki bytowania, należy pobudować własne domy z uwzględnieniem potrzeb indywidualnych, co u nas byłoby wybrykiem, a w Ameryce jest dostępne przeciętnemu, skromnemu obywatelowi. W państwach nowoczesnych komfort jest udziałem wszystkich, a brud został odrzucony, jako symbol ciemnoty.

mar-mor.

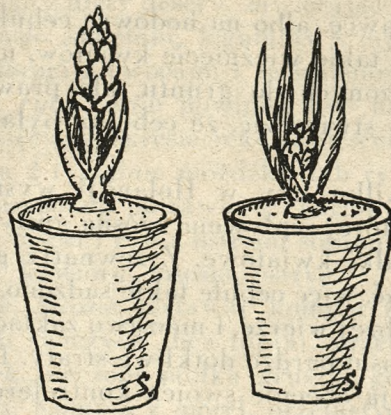
HIACYNTY

2)

Do bardzo wczesnego pędzenia, więc w celu uzyskania kwiatów gotowych już na Boże Narodzenie, trzeba używać cebul „eteryzowanych“ czyli drogą specjalnych zabiegów przygotowanych do wczesnego kwitnienia. Cebule takie są droższe, a pędzenie ich w pokoju bywa zawodne, więc szczególnie początkującym amatorom radzę ograniczyć się do cebul zwykłych, i rozpoczynać pędzenie dopiero koło Nowego Roku.

Wybrane doniczki przenosimy do mieszkania i narazie stawiamy w chłodnym korytarzu lub przedpokoju, żeby się przyzwyczaiły do cieplejszego powietrza. Taka ostrożność jest specjalnie ważna w tych razach, gdy doniczki były zadowolone w miejscu bardzo chłodnym, lub nawet dostępnym dla mrozu.

Po upływie jednego dnia, lub doby, skręcamy z papieru gazetowego, albo z aktowej tektury lejek, wzgl. „róg obfitości“ i nasadzamy go szerokim końcem na doniczkę, poczem przenosimy rośliny w miej-



Kwiat wychodzi prądkowo. Kwiat uwiązł

sce ciepłe, choćby nawet zupełnie ciemne. Można je więc ustawić na piecu, za piecem, na przymurku nad trzonem kuchennym, na szafie koło pieca i t. p., byle zapewnić im równomierne ciepło. Od tej chwili hiacynty potrzebują już coraz częstszego polewania, bo zaczyna się energiczny wzrost, który łatwo stwierdzić, obserwując wydłużanie się kielka.

Przy prawidłowym rozwoju po upływie mniej-więcej tygodnia, z pomiędzy liści wydłużającego się kielka powinien wysunąć się wierzchołek pąka kwiatowego, i z każdym dniem pąk winien wyrastać wyżej ponad liście, których przyrost postępuje znacznie powolniej. Wreszcie cały pąk się wydobył, i zwykle nawet zdradza już zabarwienie. Wtedy kołpak staje się zbędny, więc go zdejmujemy, a doniczkę przenosimy na parapet okienny, na światło. Jeżeli pragniemy osiągnąć szybki rozwój kwiatu, to trzymamy go w pomieszczeniu ciepłym; żeby rozwój powstrzymać, raczej przedłużyć trwałość kwiatu — wypada ustawić doniczkę w pomieszczeniu chłodnym.

Teraz już rozwój postępuje normalnie, a naszym zadaniem będzie tylko polewanie ziemi i opalowanie łodygi kwiatowej. Woda musi mieć temperaturę pokojową — zimna szkodzi.

Ale nie zawsze wszystko tak gładko się odbywa. Cebulki słabe, wadliwe, nadgniłe, mogą już podczas zakorzeniania się zamrzeć lub zgnieć doszczętnie. Jeżeli nawet zakorzenią się, to wydadzą kielkę słabą, a kwiat podczas pędzenia nie wybije ponad liście, lecz uwięźnie przy nasadzie, albo nawet zagnije, i tylko liście będą rosły dalej. Tak samo może się zdarzyć, jeśli cebulka została za głęboko posadzona, albo jeśli woda nie ma swobodnego odpływu. Wreszcie kwiat nie wybija, jeśli cebulka nie zakorzeniła się należycie, oraz wtedy, gdy została nagle przeniesiona do zbyt ciepłego pomieszczenia, lub gdy pędzenie odbywało się bez okrycia kielka kołpakiem.

Pod wpływem światła rozwijają się liście tak silnie, że pąk nie może za nimi nadążyć, one też pochłaniają wszystkie soki i w rezultacie kwiat „siada“, a hiacynt traci wszelką wartość, zaś amator spędza

winę na dostawcę, albo na hodowcę cebulek. Zdarza się naprawdę takie więźnięcie kwiatów, nawet u cebulek, posadzonych do gruntu, ale prawie zawsze można wtedy stwierdzić, że cebulka była chora lub uszkodzona.

Przed kilku laty w Holandji wystąpiła epidemia, pod której wpływem wiosną gniły wewnątrz cebulek strzałki kwiatowe. Z zewnątrz gnicia tego nie było widać, więc cebule takie sadzono, lub sprzedawano w dobrej wierze, i mnóstwo zakładów ogrodniczych poniosło bardzo dotkliwe straty. Liczne kraje ustanawiają obecnie swoich kontrolerów, którzy badają cebulki, przeznaczone do wywozu i wystawiają transportom zaświadczenia ich zdrowotności. Polska takiego eksperta nie ustanowiła, ale poważniejsi hodowcy liczą się z większymi odbiorcami i sami nie dopuszczają do wysyłki cebulek porażonych.

Inny sposób pędzenia hiacyntów w mieszkaniach polega na umieszczaniu cebulki w rozszerzonej miseczkowato szyjce specjalnego słoja, napełnionego wodą. Pod wpływem parującej wilgoci cebulka wypuszcza korzenie, które zagłębiają się w wodę i z niej czerpią pokarm. W tym wypadku należy również chronić dno cebulki od zetknięcia z wodą, żeby nie wdała się zgnilizna. Poza tem można na powierzchni wody umieścić parę kawałków węgla drzewnego, który neutralizuje zarodki zgnilizny. Sposób ten jest łatwiejszy, niż pędzenie hiacyntów w doniczkach, ale kwiaty piękniejsze osiąga się z cebul, rosnących w normalnych warunkach.

Hiacyntów przekwitłych nie należy wyrzucać, ani też usuwać do ciemnych kątów, gdzie schną zapomniane. Wprawdzie cebule pędzone nie nadają się nadal do sadzenia do doniczek, ale mogą być użyte do sadzenia na grzędach ogrodnich i tam będą kwitły. Więc kwiat zwiedły można ścinać, pozostawiając liście, roślinę pozostawić na oknie, ziemię polewać w miarę potrzeby, t. j. gdy wysycha, stopniowo coraz rzadziej, a po upływie paru tygodni liście zaczną zamierać. Wówczas można polewania zaniechać, doniczkę umieścić w miejscu suchym, nie wystawionem na mróz, względnie nawet cebulę wyjąć z ziemi i przechować na szafie. Kto sam nie ma ogródka, niech ofiaruje takie cebulki krewnym lub znajomym, którzy mają domek na wsi, czy w osiedlu ogrodnem, a zrobi im tem prawdziwą przyjemność, która ofiarodawcy nie narazi ani na koszty, ani na kłopoty.

Stan. Schönfeld

Serenada

Tam pod balkonem uroczej donny,

Ze szpadą w ręku stał rycerz konny:

— *Bądź mi wzajemną, nie chcesz mej zguby!*

— *Więc „Daj-Go“ żaka przywieź mi luby!*

DIETY W CHOROBYCH PRZEWODU POKARMOWEGO

I. *Niedokwaśność.* Przy niedokwaśności żołądka należy używać mniej jaj, mięsa i sera, niż zwykle. Mączne potrawy są bardzo wskazane, gdyż pod nieobecność kwasów żołądkowych trawienie śliną trwa dłużej. Cukru należy używać mało, bo on obniża kwasowość i fermentuje łatwo. Zupy czyste, rosół zalecone. Szczególną uwagę zwrócić należy na staranne przyrządzanie potraw, aby pozbawić je bakteryj, oraz na estetyczne podawanie do stołu, aby pobudzić wydzielanie soków trawiących. Przed gotowaniem najlepiej wszystkie produkty sparzyć, zwłaszcza sałaty.

Obecnie, gdy panuje tyfus brzuszny i czerwotka, należy wszystkie owoce parzyć, pomidory na sałatę parzyć i obierać ze skórki. Przestrzegać higieny w kuchni. Kucharka powinna codziennie myć się cała, a ręce każdorazowo po wyjściu do ubikacji przed rozpoczęciem gotowania. Kosztować potraw powinno się w ten sposób, aby łyżką, którą się nabiera z rondla nalać czy przełożyć jedzenie na małą łyżeczkę, która ma służyć jedynie do próbowania. Muchy należy tępić, bo przenoszą tyfus i inne zarazki.

II. *Nadkwaśność żołądka oraz po operacji wrzodu żołądkowego.*

1. Należy unikać nerwowych podnieceń i zmęczenia fizycznego.

2. Przerwać palenie papierosów i picie alkoholu przynajmniej na 6 miesięcy.

3. Jeść wolno, unikać przejadania się.

4. Dbać o regularne wypróżnienia.

5. Pić szklankę mleka na godzinę przed obiadem i na godzinę przed kolacją, oraz przed pójściem spać.

6. Utrzymywać zęby w bardzo starannym porządku.

7. Po 5 — 6 miesiącach pacjent może stopniowo powracać do normalnej diety, gdy tylko jednak nie jest w porządku z żołądkiem, powinien czasowo powracać do stosowania powyższej diety.

8. Gdy jest skłonność do odbijań kwaśnych, do bólów po jedzeniu, należy zażywać pół płaskiej łyżeczki sody oczyszczonej na 1 godzinę lub 2 po jedzeniu.

9. O ile tryb życia prowadzi się normalnie i stosuje dietę, nie należy zbyt wagi przykładąć do drobnych dolegliwości.

I ŚNIADANIE.

Grzanka, 2 łyżki stołowe przetartej marmelady z jabłek lub śliwek, 120 gr. — pół szklanki gotowanej kaszki krakowskiej lub manny z mlekiem lub ze śmietanką. Kawa zbożowa ze śmietanką lub mleko, ale w najlepszym gatunku.

II ŚNIADANIE.

Jajko na miękko lub w koszulce. Purée ze szpinaku, groszku. Czerstwa bułka z masłem i twarogiem (dobrze rozartym). Lekka herbata z mlekiem, lub mleko z dodatkiem śmietanki. Przetarta marmelada owocowa.

OBIAD.

Zupa mleczna lub jarzynowa purée. Białe mięso: potrawka z cielęciny, kurczęcia. Kartofel. Purée z jarzyn. Grzanka z masłem. Marmelada z owoców lub galaretka owocowa.

KOLACJA.

Ryż gotowany w mleku, na sypko lub zupa ryżowa lub kartoflana. Pieczone jabłko ze śmietanką lub mlekiem. Mleczko z sokiem owocowym lub karmelowym. Mleko pełne lub z dodaniem śmietanki.

Zasady układania menu dla chorego na nadkwasność żołądka lub w stanie rekonwalescencji po wrzodzie żołądka są następujące: wybór pożywienia, który nie wywołuje chemicznych, mechanicznych lub termicznych irytacji żołądka. Pokarmy muszą być łatwo strawne, pożywe, ale w postaci bardzo rozdrobnionej. Nie powinny być ani za gorące, ani za zimne. Dieta powinna składać się ze świeżego, w najlepszym gatunku mleka i śmietanki, gotowanych kasz, zup mlecznych i purée z warzyw. Owoce bez skórek i ziarn, nawet ziarnka malin i truskawek należy usuwać. Nieskomplikowane budynie, jaja na miękko, grzanki ze starego chleba, świeże masło, galaretki i kremy z żelatyną, zwykłe lody. Powoli wprowadzać można potrawki z białego mięsa, ryby pieczone.

Napoje: Można dawać kawę zbożową, mleko, śmietankę, bawarkę t. j. bardzo lekką herbatę ze śmietanką lub mlekiem, kakao lub czekoladę co jakiś czas, nie częściej niż 2 razy tygodniowo. Rozbite jajko z mlekiem t. zw. egg-nog. Unikać płynów wyraźnie kwaśnych: zup takich, jak: barszcz, kapuśniak, zupa ogórkowa.

Pieczymy. Można podawać grzanki, biszkopci, czerstwe bułki pszenne. Usunąć z diety: świeży chleb, paszteciki wszelkiego rodzaju, ciastka i chleb razowy.

Masła nie używać wiele. Najlepiej nie robić żadnych sosów i zapraw z masłem, ale podawać potrawy (jarzyny, mięsa przypiekane) z kawałkiem świeżego masła. Masło powinno być świeże i bez soli.

Kasze. Można podawać kaszkę krakowską, mannę, drobną perłową, należy je długo gotować, według poniżej podanych wskazówek.

Usunąć z diety: grube kasze: perłową, gryczaną i jaglaną.

Sery sfermentowane usunąć z diety.

Deser. Można podawać wszystkie galaretki, kremy, mleczka, muśy owocowe lub z jajek, lody wani-

ljowe. Usunąć z diety desery, zawierające kwasy, zbyt obfite w masło, śmietanę, leguminy z jaj, torty, ciastka, mak, pierogi z owocami i ze śmietaną.

Mięso, ryby, drób powinny być usunięte przez 3 — 4 miesiące w okresie rekonwalescencji z wyjątkiem raz na 2 tygodnie mózdzku lub ryby w galarecie, ryby pieczonej, potrawki z cielęciny lub kurczęcia. Unikać mięsa i ryb z ostreimi sosami, suchych ryb wędzonych, kawioru, lososia, ostryg.

Owoce. Można podawać kompot ze śliwek suszonych lub świeżych (bez łupin), przetartą marmeladę z jabłek, pieczone jabłka, gruszki, gotowane jabłko i gruszki. Kompot z morel, przetartych przez sito.

Orzechy wszelkie usunąć z diety.

Warzywa podawać purée: szpinak, groszek, marchew, buraki, fasolkę szparagową. Unikać warzyw nieprzecieranych oraz pomidorów.

Salaty. Unikać salaty z pomidorów, salaty zielonej ze śmietaną lub octem, sałatek t. zw. vinegrette.

Przypraw korzennych nie używać, a soli umiarkowanie.

Zupy podawać przecierane, jarzynowe, mleczne, z drobnymi kaszkami lub lanami kluseczkami.

Słodczyce usunąć z jadłospisu.

PRZEPISY.

Napoje. Napój jajeczny. Rozbić jajko z łyżką przegotowanej, przestudzonej wody i łyżeczką płaską cukru, odrobiną soli. Nalać do szklanki gorącego mleka, ciągle mieszając. Zamiast mleka można użyć gorącej wody, zupy lub herbaty. Tak zw. egg-nog jest również napojem jajecznym. Ubija się jajko. Najlepiej do tego celu kupić trzepaczkę z korbką i kółkiem (są u Bruna po 2 zł. 40 gr.). Dodać 2 płaskie łyżeczki cukru utłuczonego z wanilią, szklankę świeżego, przegotowanego i przestudzonego mleka. Wymieszać starannie trzepaczką, przecedzić, jeżeli cząsteczki białka nie rozpuściły się.

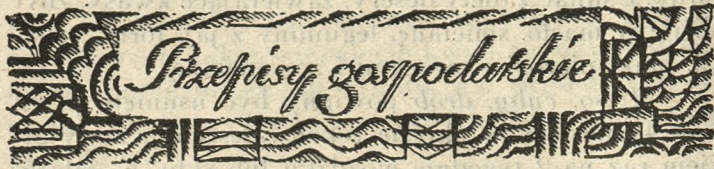
Mleczko. Jajka należy wymieszać, dodać cukru i soli i potem dolewać powoli ciepłego mleka. Mleczko powinno być gotowane w umiarkowanej temperaturze. Jeżeli nie stanie, wstawić w zimną wodę.

Inny rodzaj mleczka. Do ubitego jajka dodać 2 stołowe łyżki cukru i trochę soli. Wlać do szklanki mleka, ciągle mieszając. Gotować na parze, dopóki masa nie zgęstnieje. Po zdjęciu z ognia dodać trochę wanilji i wstawić do zimnej wody.

Mleczko czekoladowe. Do ubitego jajka wsypać powoli trochę czekolady w proszku, wymieszać i dalej postępować, jak wyżej. To samo można wykonać w naczyniu do pieczenia. Piec należy 20 minut lub dłużej, dopóki noż, włożony do mleczka, nie wyjdzie zupełnie czysty.

Marja Morzkowska





CZERNINA

Pół szklanki krwi z kaczki, gęsi lub prosięcia przechować po spuszczeniu jej z zabitej sztuki, soląc lekko i mieszając z dobrą łyżką winnego octu. Z dróbek kaczych (jeśli używamy na zupełną dróbkę gęsie lub główkę i nóżki prosięcia, należy podwoić proporcję krwi i odpowiednio powiększyć ilość rosołu) ugotować litr rosołu, dodając marchew, pietruszkę, cebulę, po kawałku pora i selera, listek, pieprzu i ziela ziarn parę i jeden mały, młody grzybek suszony. Piętnaście deka śliwek suszonych (mogą być równie dobrze jabłka lub gruszki suszone, a także owoce suszone, mięszone) udusić w niedużej ilości wody z dobrą łyżką cukru i trzema deka młodej słoninki, drobno pokrajanej. Ze szklanki maki, jednego jajka, łyżeczki (od kawy) soli i takiej ilości wody, aby się ciasto wałkować dało, zagnieść ciasto, jak na kluski krajane. Rozwałkować jaknajcieniej, pokrajać na drobne łazanki, ugotować w osolonej wodzie. Przed samem podaniem włożyć do wazy śliwek. Krew rozbić dokładnie z dobrą łyżką maki pszennej, wlać do rosołu, zagotować raz tylko. W razie, gdyby zupa nie była dosyć słona, dosolić do smaku. Wlać na śliwki. Łazanki i dróbkę włożyć do zupy, bądź też podać oddzielnie przy zupie. Stosuje się to do dróbek kaczych; gęsie, jako znacznie większe, podaje się zwykle oddzielnie na potrawkę z brukwią lub kaszą perlową i sosem grzybowym. Główkę i nóżki prosięcia, o ile są od dużej sztuki, można też podać oddzielnie z sosem chrzanowym.

„JAM” ŚLIWKOWY

Można nań użyć wszelkich owoców drobnych, nawpół dojrzałych, niedokształconych. Połowę z nich, lepszych, kształtniejszych, przebrać starannie, opłókać, osuszyć na sitach. Drugą połowę, gorszych, zalać wodą, aby tylko objęło, rozgotować, przetrzeć przez rzadkie sito. Zważyć tę masę i pozostawione całe śliwki. Na każde kilo owocu brać

osiemdziesiąt deka cukru. Cukier ten wraz z przetartą marmeladą zagotować; gdy się masa stanie jednolita, włożyć całe śliwki i smażyć na wolnym ogniu, mieszając często od dna, aż marmelada stanie się przezroczysta, a śliwki dojdą, o czym można się przekonać, przecinając jedną na spodku. Gdy konserwa gotowa, dodać na każde kilo pastylkę benzoesu, rozpuszczoną w łyżce gotowanej wody, i nie gotować już więcej. Gorący jeszcze „jam” włożyć do wygrzanych słoików, lub garnków kamiennych. Dopiero, gdy dokładnie wystygnie, przykryć krążkami pergaminu, namoczonymi w salicylowym spirytusie. Słoje obwiązać pergaminem i przechowywać w suchym miejscu.

NALEWKA Z JEŻYN.

Napełnić gąsior do trzech ćwierci jeżynami. Na trzy kilo jeżyn dodać garść sporą pestek ze śliwek dojrzałych. Wsypać na to kilo cukru — najlepiej tłuczonej rafinady lub pudru — i zalać spirytusem, aby objęło. Dobrze zakorkowane postawić na słońcu, często obracając gąsior na wszystkie strony, aby się cukier prędko i dokładnie rozpuścił. Po miesiącu zlać pierwszą nalewkę. Jeżyny zalać jeszcze litrem syropu, ugotowanego z pół kilo cukru. Postawić w bardzo ciepłym miejscu (koło pieca, blachy kuchennej i t. p.). Po miesiącu i ten płyn zlać, owoce mocno wycisnąć, zmieszać z uprzednio zlaną nalewką. Zbutelkować, trzymać pół roku przed użyciem. Bardzo smaczna nalewka, kolorem i smakiem przypominająca wiśniową; wobec drożyzny i małej ilości wisien, naskutek wymarznienia drzew — może do pewnego stopnia ją zastąpić.

Pani Elżbieta



WARUNKI PRENUMERATY

w kraju oraz do Austrii, Czechosłowacji i Węgier: miesięcznie 5 zł. 80 gr., kwartalnie — 17 zł. 40 gr., rocznie — 69 zł. 60 gr. Do innych krajów miesięcznie — 7 zł. 20 gr. Zmiana adresu 50 gr.

Redakcja i Administracja: Warszawa, Plac Zamkowy 9, tel. 259-

Cena numeru w prenumeracie 1 zł. 34 gr.

Prenumeratę przyjmuje Administracja „Bluszczu” — Warszawa, Plac Zamkowy 9.

Konto P. K. O. — Warszawa Nr. 3700.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ”, Sp. z ogr. odp

Redaktorki: STEFANJA PODHORSKA - OKOŁÓW (naczelna) i MARJA PODHORSKA - OKOŁÓW.

Redakcja i Administracja: Warszawa, Plac Zamkowy 9, tel. 259-40.

Ekspedycja: ul. Górnośląska 19, tel. 244-75

Druk. Zakł. Graf. Tow. Wyd. „BLUSZCZ”, Rymarska 8, tel. 244-18.

Nasza Mównica

Głos mężczyzny w sprawie kobiecej.

Zabierając głos w sprawach kobiecych, przede wszystkim muszę paniom zaznaczyć, że jestem mężczyzną, żonatym i ojcem. Mimo nader ciężkich warunków materialnych, w rodzinie mojej niema wojny, a nieporozumienia zdarzają się nader rzadko i wypływają jedynie ze spraw finansowych. W ciągu przeszło 10-cio letniego pożycia małżeńskiego harmonia jego nie została poważnie naruszona.

Od kilku miesięcy czytuję na łamach „Bluszczu” różne artykuły, traktujące o wzajemnych stosunkach między płcią „silną” i „słabą”.

Nie przypuszczałem, że kwestję tę można ujmować w sposób, jak to czynią niektóre z pań. Zdawało mi się, że już najwyższy czas skończyć z niezbyt pochlebnem dla kobiet stawianiem przez nie mężczyzn na jakiejś urojonej platformie pseudo-wysokości. Zdawało mi się, że, jeśli jeszcze gdzieś istnieje mężczyzna, wymagający od żony osłodzenia i zamieszania rannej herbaty, to fakt taki niepochlebnie świadczy jedynie o żonie, stawiającej siebie w roli służącej. Zdawało mi się, że prawa równości kobiety z mężczyzną w czasach powojennych w Polsce dostatecznie się ugruntowały i przestały być aktualne. Widocznie panie uważają, że jest inaczej, i starają się podtrzymać wojnę, szukając przeciwników między tymi, którzy już przeciwnikami być nie mogą i nie chcą. Jednak czas już przypomnieć sobie, że od rozpoczęcia walki przez kobiety upłynęło sporo lat (lata wojenne liczą się podwójnie), i zapomnieć używania argumentów pierwotnych i wysuwania swych zalet, których mężczyźni nie posiadają wcale, albo w nader małym stopniu, mają natomiast inne zalety, których kobietom brak.

Prostu różnica płci jest bardzo poważna: nigdy kobieta całkowicie mężczyzny nie zastąpi i na odwrót.

Współczesny, poważnie myślący mężczyzna nie szuka już w żonie wiernej sobie służki i gospodyni, lecz chce mieć dzielną towarzyszkę życia, przyjaciółkę i kochankę. Pożycie dwojga ludzi wymaga całego szeregu wzajemnych ustępstw, gdzie częstokroć pokrzywdzona jest nie tylko „słabsza” połowa.

Jednostronne ujmowanie sprawy łatwo doprowadza do fatalnych skutków. A już chyba najgorszą przysługę oddają swym siostronom autorki bojowych artykułów z przykładami urojonych krzywd, gdzie stroną faktycznie winną jest przeważnie kobieta (np. pani, mieszająca małżonkowi poranną herbatę).

Czyż przez zbyt jednostronne i nader wojownicze ujmowanie spraw współżycia, mniej krytyczna osobka, nie poczuje się pewnego pięknego poranku skrzywdzona tem, że mąż, pracujący na nią bez ograniczenia sił i czasu, jest zdania, iż należy mu się od „lepszego” połowy pewna opieka, i prośba podania mu herbaty jest w pewnych momentach całkowicie usprawiedliwiona, a nawet osłodzenie i zamieszanie będzie tylko drobną przysługą, ujawniającą niewygasłe uczucia? Jeden i ten sam wypadek w różnych okolicznościach i naświetleniu powoduje inną ocenę.

Panie poświęcać się nie chcą. Dobrze, ale proszę mi powiedzieć, dlaczego wówczas my się mamy poświęcać?

Widzę, jak spora ilość „bojowniczek” ironicznie się uśmiecha... Mężczyźni... i poświęcenie! A czy to jest tylko waszym przywilejem? Ile mężczyzna traci z chwilą ożenienia się, tego nawet sam niezawsze jest w stanie określić, a dopiero po pewnym czasie widzi, że życie we dwoje z... dodatkami idzie mu inaczej, niż sobie to wyobrażał; jednak nie traktuje tego, jako osobistą krzywdę, lecz jako obowiązek, dobrowolnie na siebie przyjęty.

Trudno jest przytoczyć wszystkie argumenty, którymi można sypać, jak z rogu obfitości, niemniej jednak twierdzę, że równouprawnienie, zarówno w znaczeniu materialnem, jak i moralnem, kobieta polska zdobyła i bezwzględnie walkę o swe prawa wygrała. Gdzieindziej, jak np. w Ameryce, zdobyła wprawdzie więcej i jest stroną uprzywilejowaną, jednak nie wiem, czy rezultaty tego są dla społeczeństwa tak bardzo korzystne, jeśli pomyśleć o tamtejszej epidemii rozwodów i związanym z tem upadku moralnym małżeństw, oraz o masowej produkcji pół-sierot, pozbawionych opieki jednego z rodziców.

A zatem — dość wojny.

Artykuły, utrzymane w tonie p. A. Kobyleckiej z Lubomla w Nr. 31 „Bluszczu”, mojem zdaniem, są już mocno spóźnione. My już umiemy cerować i przyszywać guziki, natomiast najwyższy czas zająć się sprawami, które w powojennym układzie stosunków społecznych stają się niepokojące.

Przyznam się, że bardzo poważne refleksje wywołał we mnie artykuł p. Marji S-ka w Nr. 32 „Bluszczu”, p. t. „Pracować czy nie pracować”.

Panujące w jej domu stosunki są typowymi w rodzinach, gdzie małżonkowie zmuszeni są wspólnie zarabiać na utrzymanie domu. Pani Marja S-ka doskonale się orjentuje, że taki a nie inny układ jej stosunków domowych jest wynikiem zdobytego

równouprawnienia. Do męża swego nie ma pretensji, że po pracy wypoczywa, natomiast rozumne swymi pytaniami wskazuje odrazu, na jakie niebezpieczeństwo narażone jest społeczeństwo obecne, traktujące dość lekkomyślnie zagadnienie utrzymania rodziny i podziału prac między mężczyzną a kobietą.

Walkę o równouprawnienie panie wygrały, lecz powinno się teraz pomyśleć o umiejętnym jego wykorzystaniu, pamiętając o najszczytniejszym powołaniu kobiety.

Bronisław P.

Na czym oprzeć szczęście w małżeństwie.

Czy nie zawiele feminizmu? POCO te dwa wrogi obozy? My i — oni. Tyle jest wspólnych celów, wspólnej, koniecznej, a często i milej pracy.

Dążymy do stworzenia kulturalnej egzystencji jednostki, rodziny i społeczeństwa; aby ten cel osiągnąć, ileż trzeba współpracy i zrozumienia!

Inna kwestja, że w poruszonym temacie małżeństwa i pracy zawodowej mężatki, każda z piszących ma indywidualny pogląd i z tego punktu widzenia ma rację. To też zdziwiło mnie i poniekąd zirytowało, gdy w czasie towarzyskiej pogawędki jedna z pań wyraziła się, że kobiety rozpisują się niepotrzebnie.

Nawet nie warto się oburzać, podobnie wyrazić się może tylko osoba ograniczona lub taka, której małżeństwo ułożyło się idealnie i którą, mając swój świat, noska po za niego nie wychyla.

Gdybyśmy każdą sprawę rozpatrywali jedynie subiektywnie, to poglądy ludzkie musiałyby się zamykać w ramach niezwykle ciasnych. O małżeństwie będzie się jeszcze dużo mówić i pisać, to nie ulega żadnej wątpliwości. Instytucja powyższa wymaga reform, mając sama w sobie dużo braków.

Kiedyś pozwoliłam już sobie na ten temat swój głos zamieścić, więc tylko powtórzę zdobytą w życiu maksymę: do szczęścia w małżeństwie, po za innymi, konieczne są dwa wytyczne czynniki, występujące obopólnie — miłość i przyjaźń. A że to w praktyce trudne dość do skojarzenia, więc stąd źródło wszelkich dysonansów. Bo poza tem niema teorii, pomocą której osiągałoby się w małżeństwie pełne zadowolenie, gdyż niema identycznie powtarzającego się życia jednostki. Są pewne zasady, których stosowanie może ułatwić, uzgodnić, umilić współżycie, ale to nie rozstrzyga problemu.

Przytoczę mądre zdanie, przeczytane w artykule w jednym z pism codziennych: „Małżeństwo powinno przerabiać kapitał uczucia na kapitał przywiązania”. A jakże często wymienia się ten kapitał na niechęć, a przy niższych instynktach, lub zbyt impulsywnych temperamentach nawet na nienawiść!

Z punktu humorystycznego przypomnę o przysłowiowym nieporozumieniu z racji oberwanego guzika, gdyż, logicznie biorąc, coś dziwnego, że ten drobny guzik jest często kością niezgody, jeżeli nasi panowie mają na sobie około 30-tu guzików. Inpo-

nujące! Ale pocieszmy się: słyszałam, że głowią się oni nad uproszczeniem swej garderoby. I my przecież nie tak dawno wyzwoliłyśmy się z fiszbinów, guzików i całego arsenału haftek.

Co do pracy zawodowej mężatek, można operować tylko teorią. W wielu wypadkach życie pcha na tory wręcz przeciwne naszym teorjom. Zdefiniować ogólnie można w ten sposób, że mężatka, mająca dzieci i inne obowiązki domowe, jakich płatna, niewykwalifikowana zastępczyni nie wypełni, nie powinna pracować zarobkowo po za domem. Mężatka bez obowiązków domowych nietylko może, ale powinna pracować, bądź zawodowo, bądź społecznie, zależnie od sytuacji materialnej. Powinna, choćby w myśl staroświeckiej, ale pewnej zasady — „lenistwo jest złym doradcą”.

Jeszcze i to dodać warto, że przyjdzie czas, kiedy wydział gospodarki domowej i wychowania dzieci traktowany będzie narówni z prawem, medycyną i innymi zawodami. Bo i tu te wielkie luki, spowodowane brakiem fachowości, są przyczyną ujemnego pożytku, lub ujemnych pojęć o małżeństwie wogóle.

Marja z nad Warty.

Starość jest logicznym następstwem całego życia (w odpowiedzi p. M. B. z Lubelskiego).

Ważną sprawę poruszyła w „Mównicy” p. M. B. z Lubelskiego, sprawę *dobrej* starości.

Jak w wielu innych wypadkach życiowych, tak i tu, psychika starszych kobiet i mężczyzn różni się zasadniczo, i dlatego zupełną słuszość ma p. M. B., że na starość kobiety zwróciła specjalną uwagę.

Sz. Korespondentka zarzuca kobietom, że zestarzeć się pogodnie i dobrze nie umieją, że, żyjąc właściwie tylko dla miłości, dla podobania się mężczyźnie, stają się, z chwilą „wyjścia z obiegu” ze spraw erotycznych, rozgoryczone, zgryźliwe, nie interesujące się życiem, lub czepiają się uparcie odchodzącej miłości, albo, co gorzej, „kradną” wprost wrażenia z cudzych przeżyć.

Naturalnie, że wślad za takim nastrojem psychicznym iść musi skłonność do plotek, złośliwych krytyk, zawiści, intryg, a przede wszystkim zupełne wypaczenie życia duchowego, brak wszelkiego zainteresowania pracą twórczą i racjonalnymi, własnymi i ogólnymi sprawami.

Wszystko to jest, niestety, zupełną prawdą często w życiu spotykaną. Bywa nawet tak, że najwyższy obowiązek i największe ukochanie kobiety — macierzyństwo — nie ostaje się wobec dziwacznych, spóźnionych pretensyj... romantycznych. Nie często wprawdzie, ale zdarzają się matki, zazdrosne o urodę i powodzenie dorosłych córek, przeszkadzające nawet ich małżeństwu: zato na każdym kroku spotykamy teściowe i świekry, wtrącające się nieustannie, w wysoce nietaktowny nieraz sposób, do życia synów i córek. Wszystko to są właśnie objawy chęci

przedłużenia własnej młodości, przeżywania wciąż spraw, które wiek usunął już z planu osobistego.

Ale jaka na to rada?

P. M. B. twierdzi, że kobieta musi nauczyć się „jesiennej radości swego życia”. Słusznie — ale jak to zrobić? Na starość uczyć się zapóźno, niestety. Przyzwyczajenie, w ciągu całego życia nabyte, staje się już drugą naturą. Mężczyźni dlatego tylko godzą się lepiej ze starością i, poza nielicznymi wyjątkami śmiesznych, spóźnionych lowelasów, lepiej umiejscowiają się do swego wieku, że w ich życiu sprawa podobać się kobiecie nie gra nigdy roli wyłącznej, lub nawet przeważnej. Mają oprócz niej cały świat innych zainteresowań i celów życiowych.

Jedyną więc radą dla kobiet jest, nie czekając starości, starać się o zmniejszenie w swym życiu wagi spraw erotycznych. Każdy człowiek normalny ma prawo do miłości, ale to uczucie prawdziwie głębokie, czyste i wielkie, nigdy duszy kobiecej nie wypaczy, pozostanie w małżeństwie do końca życia, powiększając się o całą skalę miłości macierzyńskiej, i wtedy życie całe w tym zakresie wypełni. Obok niego zaś istnieć muszą zainteresowania społeczne, stosowne do poziomu wykształcenia, naukowe, artystyczne, wreszcie praca zawodowa czy domowa, ulubione rozrywki i sporty.

Jeżeli jednak całym celem istnienia będzie tylko strój i zabawa i tak zwane „podobać się” — wtedy niema rady: starość, choćby nie wiem jak zręcznie maskowana i opóźniana, przyjsie wreszcie musi, a wobec niej pusta lalka życiowa stanie zawsze bezbronna i szukać będzie ujęcia w śmiesznym czepianiu się tego, co wrócić nie może.

Pogodna, mądra i dobra starość jest więc zupełnie zależna od całego życia i o tem przedewszystkiem pamiętać należy. Kobieta, której życie wypełniały tylko sprawy erotyczne, nie może nagle przejść do „duchowego i umysłowego rozkwitu”, natomiast, która żyła pełnem życiem duchowem człowieka, nie będzie nigdy śmieszna i zgryźliwa, i jesień, a nawet zima jej, podobne będą mądrym, celowym i pięknym przemianom, zachodzącym w całej przyrodzie.

Józefa N. — z Warszawy.

Czy mamy być jaroszami? (w odpowiedzi p. Marji Stagińskiej z Łodzi).

Nie wiem, może jestem przyziemną istotą, czy też atawizm zamierzchłych, krwiożerczych pokoleń dominuje we mnie, dość, że nie czuję przy konsumowaniu niewinnego kurczenia w potrawce, czy też innej różowej szynki żadnych uczuciowo-duchowych zastrzeżeń. Dlatego zdaje mi się, że jarstwo, jako wielka idea, jest skazane na wegetację i nigdy nie obejmie szerszych kręgów. Jako ruch drobny, jako specjalna konieczność czyjejs psychiki, czy ostatecznie nakaz lekarski dla zdrowia — może sobie istnieć, ale propaganda w tym zakresie da chyba słabe wyniki.

A zresztą, jeśli chodzi o zadawanie bólu „młodszym braciom”, to czy rośliny nie czują? Przecież uczymy nasze dzieci, żeby nie łamały gałęzi — bo „to boli”.

Trudno, takie jest naturalne prawo równowagi na ziemi, że jedno stworzenie żyje kosztem drugiego. Natura nie rządzi się ideami humanitarnymi, lecz twardem prawem samoobrony i konieczności. Wyobrażam sobie, że gdybyśmy nie tępil niektórych zwierząt (szczury), owadów (muchy), nie zjadali świń, bydła, to musielibyśmy je żywić i ciężko na nie pracować, a że są niezmiernie płodne, rozmnożyłyby się w takiej ilości, że w końcu człowiek stałby się niewolnikiem zwierząt. Zniszczyłyby one każdą pięćdziesiątą ziemi warzywnej, zarażałyby nas tyfusem, gruźlicą, trątałyby pola i ogrody. Nie człowiek zjadałby wtedy zwierzęta, lecz one nas zjadałyby.

Jaka, przy ogólnie przyjętem jarstwie, nastąpiłaby rewolucja w układzie życia, trudno sobie wyobrazić!

Jestem też ciekawa, czy jarstwo, stosowane przez lat wiele, daje tak nadzwyczajne rezultaty w ukształtowaniu i budowie ducha ludzkiego? Czy wielcy genjusze byli przeważnie jaroszami? Jak to wpływa na ustrój wewnętrzny? Podobno Leonardo da Vinci był jaroszem... ale czy dużo znajdzie się takich „jarskich” genjuszów, czy byli wcześniej jaroszami, a później dopiero objawili swój genjusz, czy też naodwrot?

Jeśli przypuścimy, że nasi „młodsi bracia w Darwinie” doganiają nas w kulturze, to jednak musimy stwierdzić, że narazie człowiek jest panem właśnie z racji wyścigu w rozwoju swego gatunku i mocą tego prawa podporządkowuje sobie mniej rozumne stworzenia... Temu nie da się zaprzeczyć.

Nie przeczę, że jest to piękny i wzruszający obrazek, gdy św. Franciszek karmi swoich młodszych braci, a ptaszyny z pełnem zaufaniem do niego się zlatują, ale gdyby mi lekarz kazał dać mojemu choremu dziecku rosół z kury, nie namyślałabym się wcale.

Czyż człowiek nie jest przystosowany do pokarmów mięsnych? Siekacze, kły, trzonowe zęby świadczą wybitnie o celowości i przeznaczeniu, a ponoć przed wiekami było użębienie w lepszym stanie, niż obecnie.

Jeśli Wielki Miłośnik ludzi i Reformator praw bożych — Chrystus — nie zabronił dla pożywienia ciał naszych żywić się mięsem, to czy warto, przy naszym wrodzonym usposobieniu mięsożernem, stawiać ideę, zgóry skazaną na niepowodzenie?

Lodzianka.

Oszczędzajmy na modzie.

Mimo, że w naszych rodzinach zarobkują przeciętnie trzy, cztery osoby, bo często oboje rodzice, córka i synowie, to jednak z trudem zaledwie pokrywają wydatki codzienne. A już o jakichkolwiek oszczędnościach na czarną godzinę coraz mniej ludzi

myśli. Żyjemy z dnia na dzień, narzekamy na drożyznę, na ustrój państwowy, no i ludzimy się, że warunki się zmieniają, że tak zawsze pozostać nie może, że wrócą dawne czasy. Ale nie myślimy o tem, że zależy to od nas samych. Trzeba się nad tem trochę zastanowić, i muszą to zrobić kobiety.

Przedewszystkiem trzeba obliczyć, ile wydajemy na suknie, kapelusze i pończochy, i czy był kiedy taki okres, w którym kobiety wszystkich stanów społecznych tak bałwochwaleczo czciłyby modę?

Dalej, rozpoczniemy przegląd od buduarów, a skończmy na kuferku szwaczki; ile tam różnorodnych gałganków, świecidełek, na które wydano ostatni, ciężko zapracowany grosz, by wkrótce ustąpiły miejsca innym, podobnym. Ile czasu tracimy na chodzenie po magazynach, modystkach, mogąc czas ten zużyć pożytecznie. Zastanowiwszy się nad tem, przyjdziemy do przekonania, że możnaby bardzo dobrze nosić suknię aż do zniszczenia, a kapelusz, w którym nam do twarzy, też zbyt często zmieniać na inny, jedynie dlatego, że modny. Wogóle kupować należy trwałe, solidne, do wieku i stanowiska odpowiednie stroje, nie licząc się zupełnie z modą. Gdyby kilka tysięcy kobiet zignorowało, przez rok choćby, panią modę, ile pieniędzy i czasu zostałoby na ważniejsze sprawy! A z biegiem czasu, myśl, rzucona przez pana Jastrzębskiego, uproszczenie ubrań (Nr. 35 „Bluszczu“, w artykule J. Belcikowskiego) nie wydałaby się nam niewykonalną. Dlaczegoż nie mogłybyśmy wrócić do zwyczajów naszych prababek, gdy okrycie wystarczało na całe dziesiątki lat, tak samo suknie, zarówno codzienne, jak i balowe nie podlegały modzie. Naturalnie, możnaby to nieco zmodyfikować i dostosować do dzisiejszych czasów.

W szafach naszych byłoby wtedy więcej miejsca, a w budżecie więcej oszczędności i mniej kłopotów.

Wypowiedzmy więc walkę modzie, tej nierozsądnej i kosztownej. *Róża Machówna — Poznań.*

Na temat „Drobne ale bolesne“ (w odpowiedzi p. Wacławie M. z Warszawy).

Panią, która napisała na ten temat kilka słów, doskonale rozumiem i odczuwam i twierdzę, że u nas ten system bezczelnego zaczepiania kobiet ze strony mężczyzn stał się poprostu istną plagą, tak, iż kobieta samotna, młoda, nie jest w stanie wyjść na spacer, bo zaraz jakiś donżuan się przyczepi.

Nie wiem, co właściwie o tem napisać i czemu przypisać tę winę? czy brakowi dobrego wychowania? bo przecież zdawna słyszałam, jak się mówi, iż mężczyzna dobrze wychowany kobiety na ulicy nie zaczepia.

Tymczasem u nas zaczepiają przeważnie ludzie należący do inteligencji i tak np. oficerowie, akademicy (ci to już biorą rekord pod tym względem), no i panowie ze sfer urzędniczych. Wszyscy ci, którzy mają pretensję do dobrego wychowania.

Nie wiem, czy w innych krajach także tak mężczyźni nie dadzą przejść spokojnie młodej, samotnej kobiecie, jak u nas?

Będąc jednak w Wiedniu, podczas wojny, nie zauważyłam, aby mężczyźni byli tak natarciwi względem kobiet, przecież wychodziłam sama na spacer (a miałam wówczas lat 19). Zdarzyło mi się nieraz, że mię jakiś mężczyzna zaczepiał, ale nie odzywałam się i szedł dalej. U nas natomiast można im nawymyślać i na tyle są jeszcze bezczelni, że nie sobie z tego nie robią, tylko jeszcze więcej stają się natarciwi. Ja sama, mimo, iż jestem mężatką i matką, znajdowałam się w podobnych kolizjach zaczepiań, przecież mąż mój nie zawsze może ze mną wychodzić, ma nieraz popołudniowe zajęcia, a ja nie mogę wyjść sama na spacer.

Jestem tego zdania, aby nasze pp. posłanki pod tym względem jakieś kroki poczyniły — ale u nas dużo się mówi, pisze i pisze, a mało się robi.

Sądzę, że przy dzisiejszym postępie kobiet, jest rzeczą bardzo ważną, aby wyszła jakaś ustawa przeciw zaczepianiu bez powodu kobiet, tak, jak to ma miejsce w Ameryce i Anglii. *Jankowska — Lwów.*

Czy palić papierosy (w odpowiedzi p. Róży Machównie z Poznania).

Przeczytawszy w „Mównicy“ krytykę palaczek, pomyślałam sobie mimowoli: mea culpa — bo i ja palaczką jestem. Ale po głębszym namyśle postanowiłam jednak wziąć w obronę ten biedny, tak potępiony papieros.

Tak samo, jak i p. M., nie dotknę sprawy zdrowia — to rzecz lekarzy i kwestja b. sporna (osobiście np. mnie papierosy wyleczyły z dotkliwej choroby — nerwicy żołądka — objawiającej się ciągłym głodem nerwowym, na którą przez trzy lata leczyłam się daremnie), jeśli jednak chodzi tylko o rozrywkę, podniecie zmysłową, to dlaczego nie miałybyśmy do niej prawa?

P. M. twierdzi, że oburzył ją widok matki z dzieckiem na ręku, palącej papierosa; dlaczego nie oburza się, gdy ta sama matka chrupie cukierki, lub skrapia się perfumami? To już — co kto lubi. Palenie papierosa nie ma w sobie nic nieprzyzwoitego i uciążliwego godności ludzkiej, nie jest nieestetyczne, jak np. zażywanie tabaki, więc dlaczego je potępiać?

Papierosy zabierają pieniądze, które możnaby użyć na książki, teatr i t. p. rozrywki? Szanowna Pani, książek można czytać, ile się chce, za 2 złote miesięcznie z czytelnicy, te 2 złote każdy mieć może, nawet pałac papierosy, a inne rozrywki kulturalne są u nas, niestety, tak drogie, że niezamożna pracownica, zarabiająca np. 200—250 zł. miesięcznie, i tak pozwolić sobie na nie nie będzie mogła. Zresztą mylna jest teoria brania wszystkich spraw pod kątem jedynie groszowej oszczędności. Palenie jest pewną organiczno-psychiczną potrzebą współczesnych ludzi i dlatego walkę z niem uważam za zupełnie bezcelową. *Mar. Win. z Lublina.*